

Praca zbiorowa gimnazjalistów

ŚWIAT WIEJSKICH WARTOŚCI

źródłem mojego wzrastania



XI EDYCJA KONKURSU
Lublin 2012

TOWARZYSTWO GIMNAZJÓW POSZUKUJĄCYCH
Z MAŁYCH MIAST I WSI



Europejski Fundusz Rolny
na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich



Krajowa Sieć
Obszarów Wiejskich



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie” • Projekt opracowany przez Towarzystwo Gimnazjów Poszukujących z Małych Miast i Wsi • Publikacja współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach Pomocy Technicznej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013 • Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi

OPIEKUN NAUKOWY
Towarzystwa Gimnazjów Poszukujących z Małych Miast i Wsi

ADRES DO KORESPONDENCJI
prof. zw. dr hab. Krystyna Chałas
ul. Różana 21/11
20-538 Lublin

KOREKTA
Mirosława Baczkowska-Milian

SKŁAD
studioformat.pl

ISBN 978-83-62495-15-3

WYDAWNICTWO
Episteme
20-021 Lublin
ul. Solna 4/9
(+48) 669924164

Spis treści

WPROWADZENIE	5
MICHAŁ GASZ	
<i>Moi pierwsi i najlepsi nauczyciele</i>	7
KATARZYNA SNAŻYK	
<i>Mam szczęście, że urodziłam się w Sułowie</i>	11
NICOLE ZUZANNA REIKE	
<i>Wieś – drogowskazem życia</i>	15
MARIA LENGIEWICZ	
<i>Moja wieś źródłem wiedzy, umiejętności i wielu doświadczeń</i>	19
PATRYK ZAŁĘCKI	
<i>Moje życie na wsi</i>	23
DAWID KLIMKIEWICZ	
<i>Wiejska natura moim kręgosłupem moralnym</i>	25
SYLWIA ŚCIEPUK	
<i>Wieś to przyjaciel mojej duszy i serca</i>	29
MAŁGORZATA WOLSKA	
<i>Wieś – bogactwem tradycji</i>	33
BARBARA SKRZYPKO	
<i>Jestem dumna z moich korzeni</i>	37
MONIKA SIWICKA	
<i>Żyję na wsi, nie czuję się gorsza</i>	41
ZUZANNA CHOLEWA	
<i>To tu jest mój wielki świat, moje życie</i>	45
MAGDALENA KOCZWARA	
<i>Ojczyzna moich dziadków – moją ojczyzną</i>	57
ALEKSANDRA PRZYBYŁSKA	
<i>Moje korzenie</i>	77

ANGELIKA STAWSKA	
<i>Mój mały zakątek</i>	79
KAROLINA UJMA	
<i>Moje „ja”</i>	81
KAROLINA GOŁĘBIEWSKA	
<i>Moje drugie życie</i>	83
PAULINA ŻÓŁTAŃSKA	
*** <i>(Tu, gdzie serce moje)</i>	91
DOMINIKA DANILCZUK	
<i>Moje kochane wiejskie wartości</i>	93
JULITA KLUCZYK	
<i>Wieś moją przystanią</i>	95
JUSTYNA BUTWICKA	
<i>Rodzina wielopokoleniowa wielką wartością</i>	99
MARTA STRUMIŃSKA	
<i>Czy ze wsi to znaczy, że gorsi?</i>	101
KATARZYNA DĄBROWSKA	
<i>Wieś moim światem wartości</i>	103
MARTA OLESEK	
<i>Wieś – cały mój świat</i>	107
AGATA RAJKIEWICZ	
<i>Mój wiejski, cudowny świat</i>	109
MONIKA RZEPKA	
<i>Tu jest moje miejsce, tu jest mój dom</i>	111
DAMIAN ZMYŚLONY	
<i>Moja wieś – moje miejsce na Ziemi.</i>	113
WIOLETTA THOMYS	
<i>Wartości wiejskie drogą do dojrzałego życia</i>	115
IZABELA WEIHS	
<i>Jest takie miejsce, do którego zawsze chętnie wracam</i>	117

Wprowadzenie

Oddając do rąk czytelników kolejny tomik prac uczniowskich pisanych umysłem i sercem naszych gimnazjalistów, pragniemy zwrócić uwagę na znaczenie kultury urodzenia na rozwój młodego człowieka. Stoimy bowiem na stanowisku, że »trudna uroda« wsi – miejsca zamieszkania – jest skarbnicą wartości, które kształtują wrażliwość na piękno świata i człowieka; są źródłem wiedzy, postaw i zachowań; źródłem rodzącego się projektu życia budowanego na mocnych korzeniach tradycyjnej kultury; źródłem ambicji, pracy nad sobą, odwagi w podejmowaniu coraz trudniejszych zadań; źródłem mądrości.

Dokonując analizy prac uczniowskich można odkryć kilka prawidłowości. Pierwsza dotyczy integracji – na bazie kultury wsi – wiedzy o wartościach i wiedzy o człowieku. Ta integracja warunkuje holistyczne ujmowanie rzeczywistości zewnętrznej i siebie w tej rzeczywistości, jako jej kreatora w aspekcie aksjologicznym. Osobę zorientowaną na pełnię własnego rozwoju, człowieka odpowiedzialnego za siebie, za drugiego, za budowanie rzeczywistości społeczno-kulturowej. Młodzież postrzega wartości, ceni je, szanuje, urzeczywistnia na miarę swojego rozwoju, pragnie w przyszłości urzeczywistniać, stając się przez to bardziej Kimś.

Druga prawidłowość dotyczy rodzącej się mądrości na bazie trudu i piękna wpisanych w »wiejski świat«. Z drugiej zaś strony rodząca się mądrość scala wiele przymiotów umysłu i charakteru, sterując nimi i rozwijając je. Warto w tym miejscu zacytować określenie mądrości przez W. Kojśa: »Mądrość w ujęciu czynnościowym, a więc konkretnym i realnym jest złożoną dyspozycją psychiczną, złożonym systemem poznawczym, emocjonalnym i wolicjonalnym, umożliwiającym jednostce dokonanie rozpoznania, oceny i kwalifikacji napotykanym problemom, określenie bliższego i dalszego ich kontekstu, wskazanie możliwych rozwiązań i ich konsekwencji oraz wybór działań umożliwiających ich optymalne rozwiązanie. Jako dyspozycja umysłu jest osadzona w emocjach siecią metainformacyjnych działań, odnoszącą się do pojedynczych problemów

i do klasy problemów, stanowiącą globalną podstawę o charakterze światopoglądu.

Tak postrzegana jest dynamiczną, psychiczną całością, obejmującą szereg działań umysłowych, określających początkowy, przekształcany i końcowy stan wyodrębnionych, problematycznych fragmentów rzeczywistości.

Jest wartością chroniącą i współtworzącą inne wartości, szczególnie zaś powołaną, rozwijaną i kształtowaną dla ochrony życia, jego społecznych i kulturowych walorów; wartością osobotwórczą, socjotwórczą i kulturotwórczą, tworzącą i nadającą sensy rzeczywistości, ukierunkowującą jej przekształcanie i przeżywanie”.¹

Na bazie kulturowego potencjału wsi rodzi się misja mądrości. Wyraża się ona w zachowaniu wartości wyniesionych z kultury wsi, ich rozwijaniu, przekazywaniu swoim dzieciom, promowaniu w szerokich kręgach społecznych. Zdaniem gimnazjalistów w wartościach wiejskich tkwi moc sprawcza stanowiąca o życiu człowieka, jego aktywności w imię prawdy, godności, odpowiedzialności, wolności, sprawiedliwości, solidarności; w imię osiągnięcia pełni człowieczeństwa.

Przystawione opracowanie zawiera refleksje uczniów gimnazjów zrzeszonych w TGP. Jest adresowane do wychowawców i wychowanków, a więc głównie rodziców, nauczycieli, władz samorządu lokalnego, uczniów, jak również tych, którym na sercu leży wychowanie do poszanowania i urzeczywistniania wartości tkwiących w kulturze wsi.

Niech nam wszystkim nie zabraknie twórczej myśli i odwagi do budowania pedagogii szkoły wiejskiej, której podstawą będą wartości wiejskie.

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego opracowania, szczególnie dziękuję pani Ewie Staropiętce-Kunie – przewodniczącej TGP.

Opiekun naukowy TGPzMMiW
prof. zw. dr hab. Krystyna Chałas

¹ W. Kojs. *Wartości w procesach uczenia się i kształcenia w szkole wyższej. W: Wartości w pedagogice. Kryzys wartości kategorią problematyki badań w pedagogice współczesnej.* (red.) W. Furmanek. Rzeszów 2012, s. 153.

MICHAŁ GASZ

Publiczne Gimnazjum im. Kard. Stefana Wyszyńskiego w Zdzeszowicach

Moi pierwsi i najlepsi nauczyciele

*Z przegraną łączą mnie stosunki z pognanicza miłości i nienawiści.
Przegrana wyprowadza mnie z równowagi i sprawia, że staję się nieznośny.
Jednak z drugiej strony przegrana to nauka, której nie można uniknąć,
ale może stać się ona wielką wartością, niczym wygrana, ze względu
na rozpiętość doświadczeń, które niesie, pod warunkiem, że poddasz ją analizie.*

Lance Armstrong

Mam na imię Michał i jestem uczniem Publicznego Gimnazjum im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Zdzeszowicach. Mieszkam tutaj od urodzenia. Tutaj urodzili i wychowali się również moi rodzice i dziadkowie. W tamtych czasach była to mała, niepozorna, nadodrzańska wieś, która rozwinęła się w miasteczko wraz z budową Zakładów Koksowniczych, uzyskując prawa miejskie w 1962 roku.

Ale nie o tym chcę pisać, lecz o mojej wspaniałej, wiejskiej rodzinie, o moich kochanych rodzicach i dziadkach – pierwszych i najlepszych nauczycielach. To oni dawali mi pierwsze lekcje miłości, nauczyli, jak kochać ludzi i jak im okazywać to uczucie. To oni mnie przytulali. W ich ramionach zawsze odnajdywałem poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebne małemu dziecku. Swoim zachowaniem i dobrym słowem pokazywali, jak być dobrym człowiekiem. To oni nauczyli mnie pierwszych słów. Do dzisiaj tata z uśmiechem i dumą na twarzy opowiada mi, jak nieporadnie wypowiedziałem moje pierwsze słowo „tata”, które sprawiło nie tylko jemu, ale i mnie, wielką radość. To rodzice nauczyli mnie kultury i szacunku do ludzi starszych. Dawali lekcje, jak mam się zachowywać przy stole i jakich słów używać. Mama określała je zawsze pięcioma magicznymi słowami, czyli „proszę”, „dziękuję”,

„przepraszam”, „dzień dobry” i „do widzenia”. Pokazywała mi je na palcach mojej dłoni, choć przez wiele lat nie rozumiałem, na czym polega ich szczególna magia. Niby są małymi gestami, ale posiadają wielką moc wywoływania tego szczególnego uśmiechu na twarzy drugiego człowieka, który jest ich adresatem.

To rodzice od najmłodszych lat uczyli mnie wiary w Boga. Im zawdzięczam odmawianie pacierza. Z sentymentem wspominam te poranki i wieczory, kiedy wspólnie klękaliśmy do modlitwy, zawsze zaczynając znakiem krzyża, poprzez „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Wierzę w Boga” aż po krótką lekturę Pisma Świętego. Kiedy nie było takiej możliwości, to modliłem się sam, a mama zawsze nade mną czuwała. Nieraz zdarzały się momenty, kiedy byłem bardzo zmęczony i nie chciało mi się już modlić, to ona przychodziła i klękała razem ze mną.

W moim młodym życiu szczególne miejsce zajmuje także babcia, która nauczyła mnie poszanowania dla ciężkiej pracy, a przede wszystkim dla „chleba powszedniego”, który dał nam Bóg. Często powtarzała mi stare ludowe przysłowie: „Pamiętaj, bez pracy nie ma kołaczy”. Dopiero z czasem zrozumiałem jego uniwersalizm i ponadczasowość. To właśnie ona nauczyła mnie nie przywiązywać się do rzeczy materialnych i patrzeć na świat przez pryzmat rodziny, a nie przez pryzmat pieniądza, zgodnie ze słowami Biblii: *Idąc przez życie nie przywiązuj się do rzeczy*. Od zawsze podziwiałem mojego dziadka za jego mozolny trud, ucząc się od niego szacunku, cierpliwości i wielkiej wytrwałości w pracy i dążeniu do obranego celu. Nawet, gdy już nie był młodzieniaszkiem, to z wszystkich swoich sił próbował pomagać mojemu tacie, w czym tylko się dało. Gdy pytałem go, skąd w nim tyle energii do życia, odpowiadał, że Bóg mu daje siłę, a praca jest jego „chlebem powszednim”. Zawsze brał mnie na swoje spracowane ręce i sadzał na kolanach, a ja uwielbiałem słuchać jego opowieści z czasów, gdy jeszcze służył w wojsku i walczył na froncie II wojny światowej. Był on człowiekiem o twardym charakterze. Po latach doszedłem do wniosku, że tylko życie w biedzie, niedoli oraz ciężka praca potrafią tak ukształtować charakter człowieka.

Od zawsze wiedziałem, że Bóg jest pośród nas obecny, bo najpiękniejsza rzecz, jaka mnie spotyka, to Jego miłość obecna pośród nas w przyrodzie. Gdy w miejskim zgiełku jestem budzony porannym śpiewem ptaków – najpiękniejszym z chórów, to stwierdzam, że ten poranny koncert od razu napawa moje serce radością i szczęściem na cały nadchodzący dzień. A gdy poranne promienie słońca zaczynają wpadać i krążyć po pokoju, to jakbym słyszał ich donośne wołanie: „Wstawaj, szkoda dnia”, nie marnuj go na wylegiwanie się, tylko biegnij i obdarzaj wszystkich radością i pokojem. Delikatny wietrzyk niesie orzeźwienie, a ja otwieram oczy i spoglądam wkoło, uśmiecham się do wszystkiego, co mnie otacza, cieszę się każdym dniem.

Dziś, kiedy ukończyłem już drugą klasę gimnazjum, zrozumiałem, że to „świat wiejskich wartości jest źródłem mojego wzrastania”, a życie jest jedną wielką, niekończącą się nauką. Uczymy się od naszych rodziców, dziadków czy też ludzi starszych. Próbujemy ich naśladować, brać z nich przykład, brać sobie do serca wartości, które oni przekazują z pokolenia na pokolenie. Czasem, gdy chcemy przejść przez życie na skróty, przegrywamy. I w tym momencie przypominają mi się słowa babci: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Przegrana też może stać się dla nas nauką, tylko trzeba umieć ją przyjąć odważnie, z podniesioną głową. Wtedy stanie się wielką wartością i umocni nas samych. Dzięki niej zdobędziemy nowe doświadczenie, staniemy się hardzi i bardziej odpowiedzialni.

Mam szczęście, że urodziłam się w Sułowie

Czy gdybym urodziła się w wielkim mieście, byłabym bardziej wartościowym człowiekiem? Czy gdybym urodziła się w Nowym Yorku, byłabym pewniejsza siebie? Czy może Paryż dałby mi większe możliwości rozwoju? Los chciał, że urodziłam się tutaj, w Sułowie.

Sułów to wieś, lecz wszyscy mieszkańcy mówią *miasteczko*. Dlaczego?

Jest to miejscowość położona w Dolinie Baryczy, która dawniej miała prawa miejskie. Posiadała herb, na którym widnieje most wsparty na trzech arkadach, a na nim na tylnych łapach stoi lew obok rozłożystego drzewa. Niewiele miejscowości może poszczycić się pięknie odrestaurowanym ratuszem, który stał się obecnie wizytówką Sułowa. Ratuszowy zegar wybija godziny i życie toczy się z dnia na dzień, a ja zaczynam dostrzegać i doceniać, to co jest mi bliskie, co mam na wyciągnięcie ręki.

Miejsce, w którym mieszkam to niezwykle urokliwa okolica; bardzo spokojna, ale nawet wybredny podróżnik znajdzie tu wiele atrakcji. Bogactwo flory i fauny sprawia, iż mój zwykły codzienny spacer zmienia się w przygodę. Mam kilka miejsc, które dają mi schronienie przed natłokiem problemów nękających nastolatka. Mogę się tam wyciszyć, przemyśleć sprawy i podjąć jak do tej pory trafne decyzje. Jednym z tych miejsc są stawy w Rudzie Sułowskiej. Nietrudno się tam dostać. Biorę rower, dobrą lornetkę, butelkę wody i wiem, że za kilka minut będę napawała się szumem fal, szelestem trzciny i widokiem łabędzi, czapli, bocianów, kaczek czy perkozów.

„Magicznym” miejscem w mojej miejscowości jest rozległy park, a w nim barokowy pałac z XVII w. – stary, monumentalny, tajemniczy, a dla mnie odrobinę bajkowy. Czasami wyobrażam sobie, że mieszkam w tym pałacu i jestem księżniczką, która ma władzę nad całym światem i decyduje o wszystkim. Oczywiście jestem dobrą księżniczką, a wszyscy moi poddani są szczęśliwi i uczynni. Lubię znaleźć się wśród starych drzew sułowskiego parku. Otaczające człowieka ogromne dęby, platany, topole sprawiają wrażenie dżungli, w której człowiek jest sam i zaczyna dostrzegać potęgę natury, w której stanowi jedynie mały element. Jednak może być szczęśliwy, gdyż rozbawi go widok wiewiórki chyżo przeskakującej z gałęzi na gałąź, usłyszysz trzask małego ptaszka, ujrzy przebieśnieni nieśmiało wyłaniające się spod topniejącego śniegu. Gdy coś zwyczajnie mi nie idzie, biegnę tam i siadam gdzieś na gałęzi drzewa, by choć przez chwilę pooglądać pagórki i kamienną grotę, w której kiedyś mieszkał ponoć pustelnik. Ten widok wprawia mnie w lepszy nastrój i daje nadzieję. To bardzo dobre lekarstwo dla psychiki człowieka, gdy wie, że ma miejsce na tym świecie, które zawsze pomoże mu się zwerifikować wiele problemów.

Gdy mam bardziej duchowy problem, udaję się do barokowego kościoła. Wiadomo, czasami każdy potrzebuje rozmowy z Bogiem, ale tak mniej oficjalnej. Nawet króciutka wizyta i modlitwa w kościele bardzo oczyszcza, a myśli stają się jaśniejsze.

Jednak miejscem, które najchętniej odwiedzam, jest polana w nadbaryckim lasku, oddalonym o 2 kilometry od mojego domu. Kocham to miejsce z jednego, prostego powodu – mam z nim związanych masę miłych wspomnień. To tam najczęściej spotykam moich kochanych przyjaciół, z którymi tak świetnie się dogaduję. Żarty, wygłupy, zwierzenia, pierwsze miłości, to świat nastolatków, a ja mam szczęście, że urodziłam się w tym miejscu, w tym czasie i wśród tych ludzi.

Warto wspomnieć o szkole, na którą najczęściej uczniowie narzekają, ale jak pokazują doświadczenia starszych pokoleń, po latach za nią tęsknią i chętnie wspominają. Lubię szkołę z dwóch powodów: są tam moi przyjaciele oraz lubię się uczyć – przynajmniej do tego.

Niegdyś, czytając „Koniki Doliny Baryczy”, dowiedziałam się, że w miejscu zwanym przez mieszkańców Sułowa Szwedzką Górką doszło w XVII w. do krwawej bitwy między wojskami szwedzkimi i austriackimi, a pod ogromnym głazem pochowano ciała żołnierzy poległych w bitwie. Od momentu, kiedy poznałam legendę związaną z tym wydarzeniem mam ochotę wybrać się w nocy 28 lipca na Szwedzką Górkę, aby ujrzeć upiory wychodzące spod głazu i odgrywające scenę bitewną, jednak strach przed marami jest tak duży, że przekładałam wyprawę z roku na rok, ale może kiedyś...

Sułów to także mądrość i życzliwość ludzi, którzy tutaj mieszkają. Pomoc sąsiedzka, wspólne przeżywanie świąt kościelnych i rodzinnych to dla nas coś oczywistego. Mogę o każdej porze dnia i nocy zapukać do drzwi sąsiadów i liczyć na ich pomoc. Uśmiech pani Łucji, z którą mijam się codziennie rano sprawia, że nawet pochmurny dzień staje się łatwiejszy do przeżycia. Ileż opowieści z czasów II wojny światowej snuje pan Fryderyk. Od niego dowiedziałam się, że wojna to nie tylko statystyki, ilość bitew, podpisanych paktów. Wiem, iż los żołnierza to strach, tęsknota, lęk, a przede wszystkim chęć życia. Tylko ten, kto przeżył okrutny czas wojenny, zna wartość tego, co my młodzi ludzie mamy dane na co dzień – wolność i poczucie bezpieczeństwa.

A moja rodzina? W pośpiechu dnia codziennego zawsze znajdujemy dla siebie czas. Wiadomo, są sprzeczki, kwestie sporne, różnice zdań, ale jest też rozmowa, wspólne lepienie pierogów, spacer i przytulenie.

Zdaję sobie sprawę z tego, że – aby się dalej kształcić i rozwijać – będę musiała opuścić moją rodzinną miejscowość. Wyjadę, będę poznawać nowych ludzi, nowe miejsca. Czy za kilkanaście, kilkadziesiąt lat powrócę tu i zapuszczyć korzenie jak moi przodkowie? Tego nie wiem. Jednak jednego jestem dziś pewna: mam szczęście, że urodziłam się właśnie TU.

Wieś – drogowskazem życia

„Twórzcie kulturę wsi, w której obok nowych wymiarów, jakie niosą czasy, pozostanie – jak u dobrego gospodarza – miejsce na rzeczy dawne, uświęcone tradycją, potwierdzone przez prawdę wieków”

Jan Paweł II

Wieś ukazuje nam, że kultura ma znaczący wpływ na życie każdego człowieka. Zmierzając do lepszego bytu, dążymy do odkrycia naszej tożsamości. Zdajemy sobie sprawę z tego, kim jesteśmy i kim chcemy być. Świat wiejskich wartości jest źródłem mojego wzrastania i pomaga szukać mi odpowiedniej drogi w życiu.

Dziś, mając 15 lat, nie pamiętam swojego dzieciństwa. Nie wiem, w co i z kim się bawiłam, jakie bajki oglądałam, pamiętam jednak coś bardziej wartościowego. Babcia od dziecka powtarzała mi, że trzeba każdej napotkanej osobie mówić: „dzień dobry”, „do widzenia”, „przepraszam” i „dziękuję”. Uczyła mnie szacunku do innych ludzi. Dziś jestem jej za to bardzo wdzięczna. To ona codziennie rano i wieczorem przypominała mi o modlitwie. Dziś, kiedy u niej jestem, też to robi. Dzięki niej pamiętam, że nigdy nie można zapomnieć o Panu Bogu i o tym, że tak naprawdę tylko On ma władzę nad moim życiem. Wpajała mi, że muszę mu dziękować za wszystko, co mam, bo inne dzieci tego nie mają. Pamiętam, jak prowadziła mnie za rękę do Kościoła i poprawiała ubranie, żebym ładnie wyglądała.

Trzeba się zastanowić, gdzie są korzenie przeciętnego Polaka. Odpowiedź jest prosta. Nasze korzenie to wieś. Czy wstydzimy się tego lub będziemy wstydić? Myślę, że Polacy mają za wysokie mniemanie na swój temat. Każdy chciałby być nieprzeciętny, wyjątkowy, chciałby być doceniany, chciałby mieć coś do powiedzenia.

Niewielu zastanawia się nad tym, kto przed wieloma wiekami pracował na jego status społeczny. Wszystko, co mamy, mamy dzięki chłopom, którzy pracowali dla dobra całego narodu. Na ziemiach polskich już przed VI w. rozkład wspólnoty rodowej wiodł do wyodrębnienia się gospodarstw uprawianych przez poszczególne rodziny w ramach wspólnoty terytorialnej. Co najmniej do X w. wolni chłopci stanowili większość ludności. Myślę, że nie powinniśmy wstydzić się naszych korzeni, a raczej powinniśmy otwarcie o tym mówić.

Ludowość. Często pojawiała się w utworach epoki romantyzmu, była wzorem do naśladowania, a dziś? Chyba nie najlepiej kojarzy się Polakom. Idealnym przykładem odnoszącym się do tego stwierdzenia będzie piosenka pt. „Koko Euro Spoko” wykonywana przez zespół Jarzębina. Jest to oficjalny przebój reprezentacji Polski na Euro 2012. Miłe, starsze panie śpiewają piosenkę ubrane w ludowe stroje. Co w tym złego? Utwór jest wesoły, łatwo wpada w ucho. Nie w tym jednak rzecz. Ludowość to ważna część polskiej kultury. Mnie się podoba i jestem za tym. Nie widzę nic złego w powrocie do korzeni i folkloru. Ludowość kojarzy mi się z radością, bogatą kulturą i strojami, z wszystkim, co pozytywne. Obawiam się, że światowe procesy i różnice etniczne spowodują, że pojawią się stylizacje na ludowość i powstanie „ludowość nowoczesna”.

Mieszkanie na wsi już od najmłodszych lat i podpatrywanie moich ówczesnych autorytetów – mamy, taty czy babci – nauczyło mnie patrzenia na świat z „przymrużeniem oka” i podchodzenia do życia z dystansem. To oni ukształtowali we mnie podstawy życia i moje dzisiejsze wzorce. Żyjąc na wsi, nauczyłam się systematyczności i wrażliwości na wszystko i wszystkich, którzy mnie otaczają. Dzięki niej osiągnęłam to, co mam. Pozwoliła mi też określić to, co chcę mieć. Wieś nauczyła mnie autentyczności. Nic nie ukrywam i jestem w porządku wobec samej siebie. Pragnę podkreślić, że wieś umożliwia rozwinięcie najpiękniejszych cech młodego człowieka, np. religijności, szacunku do ludzi, do pracy i nauki, dobroci, wrażliwości i umiłowania otaczającej przyrody.

Najważniejsze jest dla mnie poszanowanie tradycji, która jest źródłem wszystkiego i nigdy nie wolno nam o niej zapomnieć. Niestety, ludzie coraz bardziej odступują od tradycji, bo uważają, że jest już niemodna lub nie przystoi ludziom z wyższych sfer wracanie do wiejskich wartości. Nie wiedzą, co tracą. Kulturowanie tradycji jest dla mnie bardzo ważne i uważam, że dla kraju, który ma tak bogatą historię i kulturę, również powinno takie być.

Więć jest dla mnie drogowskazem życia. Kształtuje najważniejsze wartości życiowe. Jest początkiem drogi. Postawy, które kształtujemy dzięki wsi, pomogą nam, młodym ludziom, w dorosłym życiu, w podejmowaniu świadomych i dojrzałych decyzji. Ludzie nie powinni się jej wstydzic, lecz tworzyć kulturę wsi, która w dzisiejszych czasach może zaniknąć. Mam nadzieję, że zostanie ona w sercach Polaków uświetniona tradycją. Liczę na to, że świadomość znaczenia wartości, które są propagowane w środowisku wiejskim, zostanie dostrzeżona przez młodych ludzi. Będę tych wartości bronić.

Moja wieś źródłem wiedzy, umiejętności i wielu doświadczeń

Na wsi mieszkam niezmiennie od prawie 16 lat. Nie raz, nie dwa bywało ciężko i nadal często tak jest, ale cieszę się, że funkcjonuję w tym swoim świecie wsi, w którym ludzie żyją z dnia na dzień, nie martwiąc się o jutro, co mnie osobiście denerwuje, bo chcę coś osiągnąć w życiu i staram się planować.

Sądzę, iż właśnie dlatego, że nie ma lekko, potrafię mimo wszystko dążyć do swego. Zahartowana ciężką pracą w gospodarstwie nie poddaję się od tak. Moi przyjaciele planują, gdzie wyjadą na wakacje, podczas kiedy ja planuję, co w tym czasie będę robić w domu, bo – jak mówi moja mama – „roboty nie przerobisz”. Oczywiście wyjeżdżam, ale to wszystko jest podporządkowane pracy i obowiązkom domowym. Patrząc na codzienne „tyranie” rodziców od wschodu do zachodu słońca, potrafię docenić pracę innych, trud, jaki wkładają w coś, co robią. Codzienny kontakt ze zwierzętami nauczył mnie szacunku. Dzięki tym parzystokopytnym stworzeniom moja rodzina żyje na poziomie. Każdemu zwierzęciu oddajemy szacunek, bo to właśnie dzięki nim się utrzymujemy.

Produkcja w naszym gospodarstwie Swojskiego Sera Korycińskiego, który jest wpisany na listę produktów regionalnych, pokazała mi, co to znaczy systematyczność. Żeby wyprodukować ser, zaczynamy już na łące. Staramy się, aby mleko było najwyższej jakości poprzez dobrą trawę i inne składniki zwierzęcej diety. Podczas dojenia krowy, zwierzę musi być czyste. Mimo że mleko po dojeniu jest cedzone, jeśli jest zanieczyszczone z powodu brudnej krowy lub dojarki, smakuje już inaczej i nie nadaje się na

ser. Kiedy mamy już mleko, podgrzewamy je do około 40 stopni Celsjusza. Do ciepłego nabiału dodajemy specjalną podpuszczkę, która powoduje ścięcie białka i sól do smaku. Mama opowiadała mi, że kiedyś podpuszczka była robiona z suszonych żołądków cielęcych, które mają enzym powodujący wytrącenie białka. Po kilkakrotnym przemieszaniu całej substancji mamy gotowy do wybrania ser, który musimy odcedzić od serwatki. Według swojego gustu możemy dodać ziół. My musimy trafić w gusta klientów, dlatego robimy ser w około 16 smakach z różnymi przyprawami i ziołami. I cały ten proces produkcji powtarzany jest dwa razy dziennie. Przetrywujemy nasz produkt około tygodnia. Najczęściej sprzedajemy go w soboty i niedziele, kiedy nie ma pracy w domu. W ten sposób mamy ser o różnym okresie dojrzewania. Cały czas, aż do sprzedania produktu, trzeba poświęcić mu uwagę, aby był najwyższej jakości. Sława naszych korycińskich wyrobów ma cenę dbałości o estetykę stoisk, na których sprzedajemy nasz produkt jak i starania o dobry smak. Dzięki dalekim wyjazdom na różne targi poznałam wiele ciekawych osób, między innymi sławnych aktorów i piosenkarzy, jak i zwykłych „Kowalskich” z ciekawymi historiami życiowymi. Temu zawdzięczałam dobry kontakt z ludźmi.

Żyjąc na wsi, nauczyłam się obsługi maszyn. Jeżdżę ciągnikiem, umiem obsłużyć dojkarkę do dojenia krów. Wielkim plusem życia tu jest fakt, że praca jest od świtu do zmierzchu. Jeśli tylko ktoś chce sobie dorobić, nie ma problemu. Można najać się do pracy przy wielu zajęciach. Jednak posiadanie gospodarstwa jest też ryzykiem. Istnieje obawa, że zwierzę zdechnie, grad zbije uprawy, susza nie pozwoli urosnąć roślinom, a nadmiar deszczu spowoduje psucie się plonów. To jest niezmierny powód do zmartwień rolników.

Więć nie wiąże się jedynie z pracą. Mimo nawału obowiązków, my – wiejska młodzież – znajdujemy czas na rozrywkę. Najpiękniejsze co może być, to ognisko z przyjaciółmi, wschodzące słońce i zapach skoszonych łąk, nad którymi unosi się mgła. Po tygodniu pracy możemy potańczyć na dyskotecce, spotkać się ze znajomymi, jak i poznać nowych ludzi. Staramy się jakoś odstresować. Człowiek nie może cały czas pracować.

Rodzice po ślubie wyjechali do miasta. Mieszkali tam kilka lat, jednak wrócili na wieś. Wybudowali dom i stworzyli coś, co po 10 latach przepadło. W 2000 roku pożar oszczędził tylko dom, stodołę i 4 krowy, które były na pastwisku. Rodzice zaczęli wszystko od nowa, z tym, że z trojgiem dzieci. Jednak nie poddali się. Z uporem walczyli o to, co dziś mamy. Dzięki rodzicom nauczyłam się odwagi i samozaparcia. To mama pokazała mi, jak prowadzić dom, nauczyła mnie jeździć na rowerze, rolnkach, dziś uczy mnie jeździć samochodem. Jej zawdzięczam wszystko, co mam. Ona zapewnia mi bezpieczeństwo. Stara się wytłumaczyć mi, że mój kolejny pomysł nastolatki nie jest do końca dobry. Dziękuję codziennie Bogu za taką matkę. Jest dla mnie mamą, siostrą i przyjaciółką. Myślę, że umiejętność obsługi maszyn to duże osiągnięcie. Dzięki pracy w ogrodzie posiadam też wiedzę o roślinach. Sądzę, że życie tu, a nie gdzie indziej, dało mi hart ducha, wiele umiejętności praktycznych, których nie zdobyłabym w mieście. Lubię pola, dzięki którym rodzice wychowali i wykształcili troje dzieci.

Nie planuję mieszkać tu w przyszłości. Decyzją rodziny na gospodarstwie zostanie brat. Po ukończeniu miejscowego, wiejskiego gimnazjum wyprowadzam się do miasta. Absolutnie nie dlatego, że miasto jest lepsze od wsi. Sądzę, że oba światy mają plusy i minusy. Są tacy, którzy uważają, że nadają się bardziej na gospodarzkę niż mój brat, który kształci się w kierunku technika rolnika, aby przejąć dorobek rodziców. Może będę promować lokalny produkt, jakim jest Swojski Ser Koryciński? W końcu znam go doskonale, mogę być ekspertem. Z miastem wiązę swoją przyszłość, ale z wielką chęcią będę tu wracać. Wracać do tych zwierząt, pól, lasów a przede wszystkim rodziców i ciast mojej mamy.

Moje życie na wsi

Świat jest tak ułożony, że śmierć lub życie innych ludzi w znaczący sposób wpływa na nasze losy, zanim się jeszcze urodzimy. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, dopóki nie poszukamy historii życia naszych rodziców, dziadków, pradziadków.

Nazywam się Patryk Załęcki i mieszkam w miejscowości Biele w powiecie płońskim. Jest to mała wioska położona na Mazowszu w dolinie rzeki Wkra. O tym, że mieszkam na wsi, zdecydował los kilkadziesiąt lat temu po śmierci mojego pradziadka w roku 1976. Wtedy gospodarstwem musiała zająć się moja babcia wraz z moim dziadkiem, a swoim mężem. Moi rodzice po ślubie zamierzali zamieszkać w mieście, jednak koleje losu ponownie dały o sobie znać. W roku 1997, w tym, w którym się urodziłem, zmarł mój dziadek – tata mojego taty. Ziemia ponownie straciła swojego gospodarza. Moi rodzice zrezygnowali ze swoich planów i zamieszkali na wsi. Gospodarstwem zajął się mój tata i w ten sposób mieszkam na wsi.

Świat wiejskich wartości różni się od tych w mieście. Moi dziadkowie ze strony mamy mieszkają w Płońsku i mam porównanie. Ludzie w miastach żyją według określonego rytmu. Praca–dom, dom–praca, kilka dni wolnego. W obecnych czasach da się zauważyć pogoń za pieniędzmi, karierą, sławą. To wartości życia w mieście, których na wsi tak nie widać. Tu zachowano wiele tradycji, które przenosi się z ojca na syna, a rytm pracy z reguły wyznacza pogoda i przyroda. Będąc w mieście u babci i widząc swoich kolegów, dochodzę do wniosku, iż życie na wsi ukształtowało mnie w całkiem inny sposób i jestem innym człowiekiem, niż mogłbym być. Mam wykształcenie i szacunek dla rodziców. Pomagam w pracach

polowych, mimo iż nie jestem do tego zmuszany. Pomagam przy truskawkach czy też przy żniwach. Jeżeli czuć w powietrzu załamanie pogody, wtedy każdy jest potrzebny, aby zwieźć plony z pola.

Świat wiejskich wartości jest więc źródłem mojego wzrastania. Może życie na wsi jest trudniejsze, ale za to przyroda wszystko stara się zrównoważyć. Wiejskie wartości ulegają zmianom wraz z postępem. Teraz nie wystarczy skończyć tylko szkołę podstawową, tak jak to było kiedyś. Dziś, żeby prowadzić gospodarstwo, należy być człowiekiem wszechstronnym, zorganizowanym, trzeba znać się na wszystkim. Nie wystarczy skończenie odpowiedniego kierunku na studiach.

Chcąc prowadzić dalej to gospodarstwo, muszę przejąć od swojej babci i od swoich rodziców ten świat wiejskich wartości i w nim dalej wzrastać. A gdy dorosnę, wszystko to, co będę wiedział, przekazę dalej swoim dzieciom, a może i wnukom.

Wiejskie wartości

*Tutaj rolnik ziemię orze
Tu za rok zboża będzie łan
Gdy łaskawy Bóg pomoże
Życie rolnika zmieni stan.*

*Na wsi mieszkanie różni się
Od tych co bytują w mieście
Jednak wieś doceni Ciebie
Dając radość życia – szczęście.*

*Tu polana i szacunek
Uczy do ziemi miłości
Bilans życia to rachunek
Takie wiejskie są wartości.*

DAWID KLIMKIEWICZ

Publiczne Gimnazjum im. Orła Białego w Sochocinie

Wiejska natura moim kręgosłupem moralnym

*Szczęście że mieszkam na wsi,
w spokoju
ciszy
pięknie.*

*Tu życie się toczy innymi prawami,
żyje się lekko i zwiewnie.*

*Tu mogę chodzić polnymi drogami
gdzie nogi poniosą, gdzie tylko zechcę.*

*Ja mam ten zaszczyt
że dni tu liczę,
żyć tak pragnę
bo żyję jak kwiat
kwitną...*

źródło: www.kobieta.pl

Od 16 lat kwitnę w Sochocinie. W mojej małej ojczyźnie. Pierwsze informacje historyczne na temat Sochocina pochodzą z XIV wieku. Położona nad rzeką Wkrą wieś stanowiła centrum gospodarcze lokalnego rynku. Znajdowała się na szlaku handlowym łączącym Wielkie Księstwo Litewskie z Koroną.

Od urodzenia oddycham sochocińskim powietrzem, co powoduje, że jestem cały przesiąknięty tą wsią. To ona jest źródłem mojego wzrastania. Od malca moją osobowość kształtuje środowisko Sochocina jak i mieszkańcy tej malowniczej miejscowości, leżącej w dolinie rzeki Wkry.

Natura. Ona sama nas wychowuje, pozwala stać się lepszym człowiekiem. Relacje z przyrodą uczą nas późniejszych zachowań w stosunku do drugiej osoby, są oparte na tych samych zasadach. Jeśli żyjemy w zgodzie z otaczającym nas środowiskiem, ono nam się

odwdzięcza. Las, czysty i niezaśmiecony, potrafi być prawdziwa oaza spokoju i wyciszenia. Promienie słońca przebijające się przez bujne korony drzew w połączeniu z melodyjną mową ptaków odrywają nas od szarej rzeczywistości. W powietrzu unosi się kojąca woń jagód, malin i poziomek. W tym miejscu najmniej widoczna jest ludzka ręka, tak często będąca siłą niszczącą. Tutaj nieprzerwanie od tysięcy lat wszyscy żyją w nierozłącznej symbiozie, każdy jest równy, każdy jest bratem. Gruba kora długowiecznych drzew, które zapuszczają w ziemię swoje doświadczenie przechowywane w długich korzeniach, kryje pod swoją warstwą szlachetność i mądrość. Ich gałęzie pamiętają jeszcze ciężar naszych pradziadków. Te dęby, klony, graby i świerki pokazują mi, jak ważny jest szacunek do osób starszych. Nad piaszczystą plażą możemy wsłuchać się w szum rzeki, z kolei w mroźne, zimowe poranki nakarmić łabędzie, które ślizgają się po przezroczystej tafli lodu. Wkra – ta dzika, nieuregulowana rzeka, daje niepowtarzalne możliwości obserwacji dzikich zwierząt i podziwiania roślin. Żeremia bobrów, czaple, łabędzie, wydry, zimorodki, nenufary. Falująca, złocista pustynia zbóż, zajmująca duży obszar Sochocina sprawia, że w piekarni nigdy nie brakuje chleba. Przyroda jest siłą, która napędza mnie pozytywną energią. Widok wiosennej łąki, odradzającej się po zimowym śnie, pozwala mi wstać po upadku i mieć nadzieję na lepsze jutro. Wiejska natura jest elementem, na którym staram się opierać swój kręgosłup moralny.

Większość swojego wczesnego dzieciństwa spędziłem u babci, gdzie mieszkałem wraz z rodzicami do szóstego roku życia. Nie dziwne jest więc to, że jestem bardziej przyzwyczajony do babcinych obiadów, przy czym nie ujmuję zdolności kulinarnych mojej mamie. To właśnie w okolicach sochocińskiego lasu, gdzie znajdował się mój dom, przeżyłem swoje pierwsze przygody, poznałem smak piłki nożnej i to właśnie z tego okresu pochodzi najwięcej blizn na moich kolanach. Wieś zapewniła mi jak najlepsze warunki rozwoju. Nieduża okolica sprawiła, że zaprzyjaźniłem się z każdym z sąsiedniego podwórka. Wraz z kolegami całe dnie spędzaliśmy w lesie, gdzie powstawały najlepsze szałas pod słońcem. Większość ścieżek, które funkcjonują po dziś dzień została wydeptana przez

nas samych. Wspólne zabawy pokazały mi, jak w życiu ważna jest przyjaźń i współpraca.

To, kim dziś jestem, jest zasługą osób, które otaczają mnie od urodzenia, a mianowicie rodziców i dziadków. To oni nauczyli mnie takich słów, jak dzień dobry, przepraszam, dziękuję, nie od dziś wiadomo, że kulturę wynosi się z domu. Dziadek wraz z babcią pokazali mi, jak ważną rolę w życiu odgrywa miłość, rodzina, dobro drugiego człowieka i wiara w Boga. Udowodnili, że dzięki codziennej modlitwie można wyjść z najtrudniejszych sytuacji. Dziadek jest dla mnie wzorem głowy rodziny, zawsze można na nim polegać. Wieloletnie doświadczenie poparte licznymi zmarszczkami stara się przekazać swoim wnukom.

Sochocin jest znany ze swoich wyrobów guzikarskich, których historia sięga lat 70. XIX wieku. Jeszcze kilka lat temu idąc polną drogą obok mojego domu, którego od rzeki oddziela niewielki skrawek ziemi, można było znaleźć muszle małży do złudzenia przypominającą guzik. Obecnie trudno jest je zauważyć, może dlatego że w GOK-u utworzono muzeum, w którym to właśnie znajduje się gablota wypełniona muszlami, jak i maszyny do produkcji guzików, tj.: borownie, okarnie i dziukarnie. Na jednej z nich pracował mój pradziadek. Owe muszle, po odpowiednim przetworzeniu, były rozsyłane po całej Europie, tym samym rozślawiały imię mojej małej ojczyzny.

Wiejskie życie uczy pracowitości. Stary rolnik, który na polu spędza cały dzień i wykonuje ciężką pracę, która wyraźnie przeraża jego możliwości, dodaje mi sił do wykonywania codziennych czynności. W tym wszystkim najlepsze jest, że gdy na wieczór wraca do domu, jest zadowolony.

Sochocin jest miejscem, w którym kształtuje się moja wiara. To tutaj zostałem ochrzczony, przyjąłem pierwszą (i drugą) komunię, a ostatnio w sakramencie bierzmowania spłynęły na mnie dary Ducha Świętego, które pozwalają mi stawać się lepszym człowiekiem. W Publicznym Gimnazjum w Sochocinie zdobywam cenne wiadomości, szkoła również mnie wychowuje.

W mojej miejscowości wszyscy się znają. Dzięki temu, kiedy jeden mieszkaniec jest w potrzebie, wszyscy mobilizują siły i starają się mu pomóc. To pokazuje mi, jak ważna jest życzliwość, przyjaźń i ludzka solidarność. To właśnie wieś zapewnia mi inne formy odpoczynku niż gra na komputerze. Zanim schowa się księżyc, a słońce oświetli ziemię swoimi promieniami, ja już przesiaduję nad rzeką i cierpliwie czekam, aż splawik zanurzy się pod wodę. Haczyk niesiony prądem rzeki często zaczepi się o stare, porośnięte mchem pale – pozostałości po starym moście, który łączył Sochocin z Koliszewem. Obok niego znajdował się młyn, dzisiaj niewiele z niego pozostało. Nie wydaje się to dziwne, skoro został rozebrany, a cegły wykorzystano do budowy domów. Jednak pokazuje mi to, że wszystko zapisuje się w historii i zostawia po sobie ślad, mimo że nawet tego nie widzimy. Kwitnę...

Wież to przyjaciel mojej duszy i serca

Wież co to za „świat”? Dla wielu jest miejscem odpoczynku, ode-
rwnia się od codziennych problemów, zmartwień. Dla mnie jest
to miejsce, które wniosło w moje życie wiele pozytywnych wartości.
Poranek, zaczynający się blaskiem wschodzącego słońca, dodawał
mi siłę na zbliżający się dzień. Razem z rannym śpiewem ptaków
pojawiał się na mojej twarzy uśmiech i chęć przezwyciężania co-
dziennych trudności. Otaczająca mnie natura namalowała w moim
sercu niezapomniany pejzaż mojego dorastania w tych przeczudnych
okolicach. Każdego ranka z kuchni wydobywa się przyjemny głos
krzątającej się babci, przygotowującej poranny posiłek. Jej miły
uśmiech i dobre słowo nadawało każdemu dniu czarodziejską magię
przeżycia.

Pomimo tego, iż większość mojego dnia spędzałam w szkole,
to jednak mój rodzinny dom miał dla mnie znacznie w okresie
mojego dorastania. Z ogromną radością powracałam do niego
każdego popołudnia. Traktowałam go jak „człowieka” mającego
duszę, który na co dzień szeptał historię domu i ludzi, którzy w nim
mieszkali. Uważałam to miejsce za raj na ziemi. Otaczał mnie ogród,
w każdej porze roku wyglądający coraz to doskonalej. Wiosną był
młody, otulony w białe pąki wzrastających drzew wiśni. Latem
drzewa tuliły mnie w swoich okazałych ramionach i chroniły przed
upalnym słońcem. Jesienią kolorowe spadające liście były farbą
malującą moje tęczęwki oczu, które były gotowe na zmiany. Zimą
biała suknia okrywała ogród delikatnym puchem. Wszystko było
przykryte białą pierzynką, taką, jaką przykrywała mnie w dzieciń-
stwie moja mama.

Pragnę właśnie zatrzymać się przy tej porze roku. W tym czasie, kiedy mój ogród odpoczywał, ja kształtowałam swoją osobowość w towarzystwie najbardziej mądrych, w moim przekonaniu, ludzi, w moim malutkim świecie marzeń. Tymi ludźmi byli moi dziadkowie. Każdego zimowego wieczoru przychodziłam do nich i siadałam w ulubionym fotelu mojej zmarłej już prababci. Przy kubku gorącej herbaty z miodem i cytryną, w blasku ognia wydobywającego się z kominka, z wielką ciekawością słuchałam opowieści babci i dziadka z czasów ich młodości. Najciekawszymi wątkami tych wieczornych rozmów było życie codzienne ludzi zamieszkujących wieś. Gdy słuchałam ich, dochodziłam do wniosku, że wiele czynników, które niszczą dzisiejszy świat, to przede wszystkim cywilizacyjne wynalazki, których człowiek nie potrafi wykorzystać dla swojego rozwoju. Dziś nie łączą nas tak bliskie więzi, kiedyś bliskość „budowało” wyjście na świeże powietrze, rozmowa z sąsiadami, wspólna praca. Przecież wieś jest to takie piękne miejsce, w którym każdy może znaleźć coś dobrego dla siebie. Nie warto marnować czasu na rozmowy przez telefon czy też przez komunikatory. Lepiej wyjść, spotkać się, porozmawiać. Właśnie dzięki tym rozmowom mogę być wdzięczna moim dziadkom za to, kim teraz się stałam. To oni wpajali mi wartości idealnego człowieka, dzięki nim wiem, jak darzyć szacunkiem każdą istotę, co znaczą trudne słowa: prawdomówność, życzliwość, tolerancja, prostolinijność, wyrozumiałość.

Zimą, rozmowy z dziadkami, a wiosną, wśród pięknie zielonych drzew oraz łąk, rodziły się moje myśli, które – przelane na kartkę papieru – tworzyły przepiękne sentencje i wiersze obrazujące moje życie. Moje serce kwitło przepięknymi barwami, tak jak ten kwiat rodzący się z małego ziarenka rzuconego w ziemię i wzrastającego dzięki promieniom słońca i deszczom. Latem, zapach koszonych traw i dźwięk kombajnów przygotowujących się na okres żniw wypełniał mój czas. Piękny był to okres dla mojej duszy. Jesienią, szumiący cicho wietrzyk prowadził mnie do skupiska grzybów i śpiewu leśnych stworzeń. Dla rolników to czas zbioru wszelkich warzyw, dla mnie był to czas refleksji oraz zmiany mojego postępowania, ponieważ każdej jesieni stawałam się coraz starsza,

zaczynałam rozumieć wiele spraw ze świata dorosłych. Pragnęłam, aby ten czas spędzony był wśród wiejskich okolic, bo to przecież wieś jest najodpowiedniejszym miejscem dla duszy każdego człowieka. Zauważyłam, że właśnie pory roku wyznaczają rytm życia człowieka żyjącego na wsi, decydują o jego zajęciach, samopoczuciu. Również w moim życiu wyznaczały swoistą harmonię i rytm.

Wieś to malownicze miejsce, w której rosną na drzewach wartości ideałów człowieka. Otoczenie i dom rodzinny z tradycjami przechodzącymi z pokolenia na pokolenie jest drogowskazem dla każdego człowieka wychowującego się wśród wiejskich wartości. Dlatego dziękuję bardzo za każdy zimowy wieczór, za święta, miłe słowo i mój świat. Gdybym nie mieszkała tam, wśród wspaniałych ludzi, dla których najważniejszą rzeczą jest przekazywanie tradycji, nie wiem, kim bym teraz była. Może stałabym się osobą z „zimnym” sercem, cierpiałabym na tak powszechną chorobę dzisiejszych czasów, jaką jest znieczulica.

Tak więc wieś to nie tylko miejsce, w którym mieszkam. To coś o wiele cenniejszego, to przyjaciel mojej duszy i serca, który wiedzie mój umysł drogą życia.

Wieś – bogactwem tradycji

Wieś to oaza ciszy i spokoju. Dla wielu jest miejscem kojarzonym z zacofaniem, brakiem rozwoju, transportu, a przede wszystkim nudą, obszarem, gdzie jedyną rozrywką są tzw. dożynki. Jednak w rzeczywistości ta szara wizja wsi posiada swoje walory. W końcu wieś to raj dla zwierząt, roślin. Przyroda doświadcza tu w pełni rozkwitu, a panujący wokół spokój daje człowiekowi wiele możliwości na relaks i odpoczynek. Mimo iż wieś jest również odpowiednikiem ciężkiej pracy na roli, która obowiązuje zarówno w dni powszednie, jak i w święta, ma ona swój urok i czar. W żadnym innym miejscu człowiek nie zbierze wszystkich myśli, nigdzie niebo nie ma tak niebieskiego koloru, a przyroda tylu różnych barw.

Moja wieś jest miejscem, gdzie ludzie nie rywalizują, gdzie nie ma podziału na gorszych i lepszych, bo każdy próbuje „ulepić” swoje życie w sposób pobożny. To właśnie tu po raz pierwszy usłyszałam słowa „Szczęść Boże”, skierowane do pracujących. Sąsiad sąsiadowi zawsze służy pomocą i dobrym słowem. Wieś jest chyba jedynym miejscem o tak silnej współpracy ludzi. Żaden mieszkaniec nie pozostaje zdany sam na siebie – na przykład przy żniwach czy sianokosach zawsze może liczyć na choćby mały gest pomocy i wsparcia ze strony pozostałych współmieszkańców. Dlatego też ludzie wychowujący się na wsi są ubogaceni wieloma wartościami, potrafią dzielić się z innym człowiekiem tym, co sami posiadają.

Nie jest tajemnicą fakt, iż społeczeństwo miejskie od wszechczasów uważa nas za zwykłych „wieśniaków”, jednak gdyby nie gospodarze, rzemieślnicy i ich ciężka praca, mieszkańcom miast nie żyłoby się tak dostatnio. Nie wstydzę się tego, iż pochodzę

z wioski. Pomimo braku dostępu do dóbr, takich jak: ośrodki kultury, kino, teatr, galerie, mam coś o wiele cenniejszego, a są to wartości, których nie wpoją mi żadne koncerty, wystawy, mody czy kino. To drugi człowiek, dziadek czy rodzic, z pokolenia na pokolenie przekazuje nam tradycję i kulturę, wartości. Są to najważniejsze skarby. Na wsi ludzie „trzymają się” tradycji, obrzędów i działają zgodnie z przekazanymi wskazówkami. Dlatego też tutejszy człowiek ma ogromny szacunek dla swych przodków i przekazanych umiejętności. Liczy się pracowitość, współpraca, a przede wszystkim uczciwość. Wszyscy mieszkańcy sobie ufają, nie ma tu żadnych zgrzytów ani kłótni.

W tym roku szkolnym wspólnie z moim kuzynem przystąpiliśmy do realizacji projektu, który na celu miał sięgnięcie jak najdalej do korzeni naszych przodków. Na podstawie zdobytej wiedzy sporządziliśmy drzewo genealogiczne, ale najważniejsze i najcenniejsze były dla mnie opowiedziane historie, dotyczące naszych rodzin. Dzięki wielkiemu zaangażowaniu wszystkich członków rodziny, sięgnięciu do cennych pamiątek posiadałam wiedzę, o jakiej nie miałam pojęcia. Udało nam się cofnąć do roku 1920. Był to rok, w którym owdowiał mój prapradziadek, zostając z piątką dzieci. Rok później ożenił się i wspólnie z nową żoną wychowywali osierocone dzieci. Dwa lata później na świat przyszła nasza prababcia. Gdy skończyła ona 16 lat, wybuchła II wojna światowa, która przyniosła pasma nieszczęść, niepokoju, strachu, ale i nadziei. W tym czasie też narodziła się wielka miłość między prababcią a pradiadkiem, którzy w 1942 roku wzięli potajemny ślub. Owoc ich miłości, czyli nasz dziadek, przyszedł na świat w czasie wojny. W 1945 roku zakończyła się wojna. Do domów powrócili ci, którzy przeżyli, również nasz pradiadek, który rozpoczął poszukiwanie pracy, aby zapewnić swojej rodzinie byt. Pracował na budowie w Warszawie, stamtąd wrócił jednak do rodzinnego domu w Klonie, do swojej żony i syna. Na rowerze wyruszył na ziemie odzyskane w celu znalezienia własnego domu. I tak pradiadek dotarł do Potaszn, gdzie zostało już tylko małe, biedne gospodarstwo ze stodołą pod strzechą. Pozostałe budynki były już pozajmowane.

Pradziadek przyjął to, co zostało, z wielką radością, ciesząc się, że ma swój dom. Prababcia przyjechała do Potasznii razem ze swoimi sąsiadami, którzy konno wyruszyli w tę stronę. Na drogę od swojej matki dostała dwa bochny chleba, pierzynę i małą figurkę Matki Boskiej. Będąc wreszcie razem, pracując w pocie czoła, dorabiali się każdego kawałka chleba. Pradziadek, przyjmując honor gospodarza, rozpoczął pracę na roli. Była to ciężka praca, gdyż wszystko trzeba było zrobić własnymi rękoma. W zamian za pomoc i plony dostał zwierzę gospodarskie – krowę. Tak zaczęło się ich tzw. „lepsze życie”, gdyż ze sprzedaży produktów mlecznych mieli pieniądze. Żyło im się biednie, skromnie, ale byli szczęśliwi. Każdy zarobiony grosz pochodził z wielu wyrzeczeń i ciężkiej pracy. W kolejnych latach przyszło na świat jeszcze dwoje dzieci – dwie córki. Pradziadkowie wychowywali dzieci bardzo religijnie – co wieczór cała rodzina klękała przed figurką Matki Boskiej i wspólnie się modliła.

Dzięki tej lekcji historii dowiedziałam się, skąd przybył mój prapradziadek, jak poznał babcię, w jaki sposób poznali się dziadkowie, czym się zajmowali, jak trafili do miejscowości, w której teraz mieszkamy oraz co dawało im siłę do zmagania się z przeciwnościami losu, jak ważna w ich życiu była praca na roli. Teraz wiem, dlaczego rodzice tak bardzo pielęgnują tradycję, cenią pracę na roli, jak ważny jest chleb, dlaczego się go szanuje, dlaczego w naszym życiu tak ważna jest religia oraz jak cenna jest figurka Matki Bożej.

Życie na wsi nie jest jednak sielanką. Tutaj również bywają gorsze dni, problemy, które dzięki ludzkiej solidarności można przezwyciężyć. Mimo iż czasem człowiek „przywiązany” do swoich obowiązków chciałby choć na chwilę oderwać się od rzeczywistości i wyjechać w nieznane, nigdzie nie będzie mu tak dobrze, jak w domu pełnym miłości, wspomnień i bliskich wciąż czekających, np. z kubkiem ciepłego mleka.

Więć rodzi we mnie wiele wartości, cech, które należy kształtować przez całe swoje życie i których, mam nadzieję, nigdzie „nie zgubię” podczas swej dalszej drogi. Można się więc zgodzić ze znanym przysłowiem, że „Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej”.

Jestem dumna z moich korzeni

Nazywam się Barbara Skrzypko. Jestem piętnastolatką mieszkającą we wsi Długi Ług w okolicy Białegostoku. Mam liczne rodzeństwo, w tym brata bliźniaka. Dobrze się uczę, moją pasją jest sport, długo już trenuję biegi długodystansowe.

Kończy się rok szkolny, więc obiecuję sobie, że w czasie wakacji będę codziennie uczyła się słownictwa z języka angielskiego, przeczytam treści lekcji w podręczniku, których nie zdążyliśmy omówić, będę chodziła wcześniej spać, nie będę czytała powieści do późna w nocy itp. Wiem, że wszystkiego nie uda mi się zrealizować, zwłaszcza, że muszę też znaleźć czas na treningi. W dni powszednie niewiele będę miała czasu dla siebie, a niedziel będzie stosunkowo mało.

Ludzie na wsi są bardzo pobożni. W maju w mojej wsi, w kapliczce, odprawiamy nabożeństwo majowe. Obchodzimy też dni krzyżowe, działają kółka różańcowe kobiet i mężczyzn. Kiedy różaniec ma zostać odmówiony w moim domu, zawsze robimy dokładne porządki. Jestem bardzo wdzięczna rodzicom za wiarę, którą mi przekazali. Wiem, że to dzięki niej jestem silna, ufam w Bożą opiekę. Odnoszę sukcesy w nauce i sporcie. Staram się być dobrym, wrażliwym człowiekiem.

Mój ojciec krytykuje telewizję. Twierdzi, że jest w niej dużo głupot i programów bez sensu. Zawsze się złości, kiedy ją oglądamy. Za to też jestem mu wdzięczna. Dzięki niemu nie marnuję czasu na oglądanie seriali i innych programów o płytkiej treści. Rodzice czasem tylko oglądają w telewizji pogodę lub wiadomości. Moim oknem na świat jest Internet.

Pewnego razu w niedzielę w Wielkim Poście prosiłam tatę, by zawiózł mnie do kościoła po południu (śpiewałam wraz z innymi

osobami na adoracji krzyża). Zgodził się niechętnie i wytłumaczył mi, że przychodzi wiosna i chce pochodzić po polach. Po południu zostanie mu niewiele czasu, a o przedpołudniu mówił, że jest poświęcone Bogu i nie wypada mu wtedy doglądać roli. Takie zasady panują w moim domu, ale także i u innych sąsiadów. Te tradycje przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Sprawiają, że ludzie czują się przywiązani do miejsca, w którym żyją, szanują pewne zasady i przestrzegają ich. To wprowadza ład.

Często trenuję ze swoim starszym sąsiadem, który także ma duszę sportowca. Wczesną wiosną, kiedy szybko robiło się ciemno, byłam zmuszona np. w sobotę biegać około godziny piętnastej. Nie bardzo podobało się to Markowi. Mówił, że to jest normalna pora pracy i w jego przypadku ludzie mogą źle o nim myśleć. Ja nie miałam wyjścia. Mimo że bieganie jest dla mnie przyjemnością, jest ono też w moim przypadku pracą. Na wsi bardzo ważna jest opinia ludzi. To, że w gminie każdy siebie zna, ma dużo plusów. Słyszałam, że w Warszawie, kiedy Wisła groziła wystąpieniem z brzegów, mieszkańcy, zamiast pomóc w układaniu worków, wyszli na ulicę i przeszkadzali, tarasując drogę. A przecież było to w ich interesie, żeby szybko zacząć działać. Gdyby się znali, nie uczyniliby tak. Wśród mieszkańców wsi występuje zbiorowa odpowiedzialność. Boimy się złej opinii ludzi, więc staramy się nie robić głupstw, by później nie plotkowano o nas. Ale nie tylko dlatego staramy się pomagać sobie. Robimy to, bo się znamy, jesteśmy życzliwi, łączą nas praca, religia, więzi rodzinne, przyjaźnie międzysąsiedzkie.

W mojej rodzinie nauczyłam się oszczędności. Mama czasem opowiada, że moje starsze rodzeństwo nosiło spodnie przekazane przez kogoś lub sweter po kimś i wszyscy byli zadowoleni. Ja też większość ubrań, które mam, odziedziczyłam po kimś, ale czasem się buntuję. Rozumiem jednak, że mając pasującą, choć trochę niemodną kurtkę, nie warto kupować nowej. Być może w innych domach jest inaczej, ale u nas bardzo rzadko kupowane są słodycze. Robimy własne sery – biały i żółty, masło, konfitury, kompoty i różne przetwory z warzyw i owoców. Jeszcze kiedy tato był młody, zatroszczył się, byśmy mieli owoców pod dostatkiem. Mamy

plantację śliwek, cały sad jabłoni, kilka czereśni i wiśni oraz wiele leszczyn, kilka orzeszników włoskich i oczywiście truskawki. Od niedawna też cieszymy się malinami i porzeczką. Dużo czasu zabiera nam przygotowanie zapasów na zimę, ale naprawdę warto. W przyszłości, nawet jeżeli będę mieszkała w mieście, nie zrezygnuję z tego.

Lubię zbierać truskawki. Nie dlatego, że zarabiam na nich pieniądze, bo do ubiegłego roku za trzy tygodnie pracy dostawałam jedynie symboliczną nagrodę. Obecnie truskawki są trochę droższe, więc to się zmieniło. Często plewi się truskawki w takim tempie, w jakim się je zbiera. I tak minimum dwa razy w roku. Zbierając zaś te owoce, widzimy efekt swojej pracy w postaci pełnych koszyków. Dlatego lubię to robić. Oczywiście najchętniej zbiera się przez pierwsze kilka dni. Ja idę na pole z niechęcią dopiero w ostatnim tygodniu sezonu. Wtedy truskawki są bardzo drobne. W moim przekonaniu życie na wsi często uczy wytrwałości. Nawet kiedy jesteśmy zmęczeni i po prostu nam się nie chce, wiele rzeczy robimy, bo wiemy, że tak trzeba. Wydaje mi się, że to dzięki tej wartości rozpoczęłam swoją przygodę z bieganiem. Potrafię zrobić coś, co sobie zaplanuję, choć będzie mnie to kosztowało wiele trudu.

W moim domu nauczyłam się życzliwości i dobroci wobec innych ludzi. Mamy dużo owoców, więc obdarowujemy nimi osoby, z którymi mamy częsty kontakt, np. kierowcę, który odbiera od nas mleko. Najwięcej rozdajemy orzechów i jabłek. Większość ludzi,

do których tata czuje sympatię, zostaje nimi obdarzona. Najlepiej ma rodzina, bez różnicy – dalsza czy bliższa. Po za tym wszyscy mieszkańcy wsi i nie tylko mogą liczyć, że pożyczymy im potrzebną maszynę czy obdarujemy owocami.

Na wsi jest dużo obecnych wartości, które pozytywnie kształtują moją osobowość. Nie są to puste słowa, ale rzeczywiste gesty, postawy, sytuacje, które sprawiają, że czuję się dumna z moich korzeni. Czasami myślę, że mam duże szczęście, bo bez względu na to, gdzie będę mieszkać w przyszłości, będę mogła wracać i dużo czasu spędzać tu, w Długim Ługu. Chcę obcować z naturą i zażywać spokoju pośród ludzi i miejsc, które są mi bliskie, które kocham.

Żyję na wsi, nie czuję się gorsza

Mam na imię Monika i jestem raczej osobą otwartą, szczerą, czasami za szczerą. Nie opowiadam znajomym o swoich zainteresowaniach, pasjach, o tym, co potrafię najlepiej robić. W tym opowiadaniu opiszę całą siebie, bez względu, czy to będzie bolesna prawda o mnie czy też nie. Pochodzę z Podlasia, mieszkam na wsi. Moi rodzice prowadzą duże gospodarstwo rolne. Uczęszczam do 2 klasy gimnazjum. Słucham rocka, jest to świetny rodzaj muzyki. Gdy włączę piosenki mojego ulubionego zespołu Linkin Park, potrafię się zrelaksować i nabrać sił do nauki. Ludzie uważają, że ze wsi oznacza gorszy, ale wcale tak nie jest. Nie mamy tu może teatrów, kin i innych tego typu rozrywek, ale potrafię się cieszyć z tego, co mam, świeżego powietrza, ogromnej przestrzeni, luzu, kontaktu z przyrodą.

Uwielbiam fotografować naturę, zwierzęta. Moim znajomym wydaje się to dziwne, gdy oglądają moje zdjęcia, a tam widzą prawie same rośliny, drzewa oraz zwierzęta. Kiedyś, kiedy byłam małą, chciałam zrobić zdjęcie pszczole siedzącej na kwiatku, byłam bardzo odważna, bo to niemały wyczyn jako dziecko podejść do takiego owada. Gdy flesz błysnął, pszczoła wyfrunęła z kwiatka i leciała w moją stronę. Wbiła swoje żądło w mój palec. Wiadomo, jako mała dziewczynka, rozplakałam się i pobiegłam do mamy. Teraz w sumie jestem z siebie dumna, ponieważ mam piękne zdjęcie z początków mojej kariery jako fotograf. W tym roku planuję zakup jakiegoś profesjonalnego sprzętu do zdjęć, dlatego iż chciałabym iść do liceum fotograficznego w Białymstoku, a taki sprzęt jest tam potrzebny. Mam wiele zainteresowań, chociaż na fotografii skupiam się najbardziej, gdyż wiąże z nią moją przyszłość.

Staram się być wszechstronna, bo to czyni człowieka mądrzejszym niż oddawanie się tylko jednej pasji. Zdecydowanie moim kolejnym zainteresowaniem jest psychologia. Nauka bada mechanizmy i prawa rządzące psychiką oraz zachowaniem człowieka. W związku z tym osoba wybierająca ten zawód musi się dobrze zastanowić, czy tego rodzaju praca jej odpowiada i czy lubi być z innymi ludźmi. Uważam, że większość młodych ludzi kieruje się motywacją, że może być to poznanie siebie. Nie planuję uczyć się w tym kierunku, ale bardzo mnie to ciekawi. Mój kuzyn jest chory, ma lekkie upośledzenie, nie potrafi mówić, ale rozumie wszystko, czego się od niego oczekuje. Jego rodzice, gdy dowiedzieli się o chorobie syna, potrzebowali wsparcia. Wtedy pomoc psychologiczna była im bardzo potrzebna. Czyż nie jest wspaniałe to, iż można pomagać ludziom, kiedy potrzebują pomocy? Ja myślę, że jest to bardzo ciężka praca. Czasami ludzie spotykają się z większymi problemami i pomoc im wymaga wiele wysiłku.

Kolejną moją pasją są misje, inspirują mnie siostry zakonne, które wyjeżdżają do Afryki, by pomagać chorym i potrzebującym. Uśmiech drugiego człowieka sprawia mi ogromną radość, a one obdarzają uczuciem i troską wielu ludzi, do tego w ogóle nie spokrewnionych z nimi. Mam świadomość, że to nie jest wcale takie kolorowe. Osoby wyjeżdżające na misje mogą zachorować na straszne choroby, są prześladowane. W Afryce jest wiele zagrożeń, lecz podejmując się pracy misjonarza, trzeba być naprawdę odważnym i silnym psychicznie. Chciałabym kiedyś pojechać na misje, chociaż nie wiem, czy miałabym odwagę zmierzyć się z wszystkimi trudnościami. Ta potrzeba wyrasta z wychowania, jakie wpojono mi w domu, gdzie najważniejsza jest wrażliwość na drugiego człowieka, pomoc w potrzebie, tolerancja. U nas na wsi tak jest, że jeśli kogoś dosięgnie nieszczęście, wszyscy mieszkańcy spieszą z pomocą. To naturalny odruch.

Teraz moje ostatnie zainteresowanie – piłka ręczna. Oglądam każdy mecz. Kocham Bartosza Jureckiego, aktualnie jest on podstawowym obrotowym. W 2005/2006 roku zdobył 152 bramki. Najbardziej jestem dumna z polskich szczypiornistów, bo dla mnie

właśnie oni są najlepsi. Uwielbiam na lekcjach wychowania fizycznego grać w piłkę ręczną. Chociaż nie mamy żadnej zawodowej drużyny w szkole, lubimy grać dla przyjemności.

Zakończę już pisanie o moich zainteresowaniach, opiszę teraz to, co potrafię robić najlepiej i co należy do moich obowiązków. Jak już napisałam we wstępie – mieszkam na wsi, więc jak to dziecko na wsi, pomagam rodzicom. Do mojej codziennej pracy należy oczywiście pojenie oraz karmienie cielaków. Nie każdy jest tak silny jak ja i potrafi unieść dwa pełne wiadra wody. Do tego trzeba je unieść wysoko, aby wlać jałówkom do poidła. Wydaje się to banalne, prawda? Ale nie. Zdarza się, że czasami jałówka trąci głową wiadro, ono się przechyli i woda wyleje mi się na ubrania. Jestem wtedy bardzo zdenerwowana, ale nie mogę przecież zostawić zwierząt o suchym pysku. Karmienie ich jest odrobinę łatwiejsze, chociaż nie należy ono do moich ulubionych zajęć. Dla mnie fascynujące jest dojenie krów własnymi rękoma. Może wydawać się to dziwne, ponieważ na wsiach nie doi się już zwierząt ręcznie, są przeznaczone do tego specjalne urządzenia, lecz ja potrafię wydoić krowę rękoma. Jest to bardzo męczące, gdyż z całych sił trzeba pociągnąć za strzyk. Należy być ostrożnym, ponieważ krowy czasami potrafią być agresywne. Przypomniało mi się, jak kiedyś pierwszy raz próbowałam wydoić krowę. Szło mi całkiem dobrze, chociaż nie miałam jeszcze tej siły w rękach, którą mam teraz. Wydawało mi się, że mućka była zadowolona z ręcznego dojenia. Rodzice byli ze mnie dumni, ale ja nie byłam zbyt zachwycona, gdyż ręce miałam całe brudne i śmierdzące. Czasami, gdy teraz jest potrzeba dojenia krów ręcznie, oczywiście pomagam, ale nie zdarza się to zbyt często, gdyż są do tego specjalne dojarki. Życie na wsi jest bardzo ciężkie, gdyż od świtu do nocy trzeba pracować. Mama ostrzega mnie, abym się uczyła i poszła do jakiejś dobrej szkoły, by nie pracować tak ciężko, jak pracują rodzice. Ale myślę, że droczy się ze mną i w gruncie rzeczy chciałaby, bym w przyszłości przejęła gospodarstwo po rodzicach i dbała o nie.

Pod koniec czerwca jest okres zbioru truskawek. Oczywiście ja jako fachowiec od razu zgłaszam się na ochotnika, by zarobić trochę

pieniędzy. Przez 2 tygodnie jeżdżę na zarobek, by później kupić sobie coś, czego potrzebuję. Na polu siedzę od rana do wieczora i staram się nazbierać jak najwięcej koszyków truskawek. Przez pierwszy tydzień jest lekko, ale za to w drugim zaczyna się ból pleców i chwilowa niechęć do pracy. Po okresie zbioru truskawek zaczyna się sianowanie, praca w polu. Nie jest już ona taka ciężka jak 10 lat temu, gdyż prawie wszystko robią za nas maszyny, chociaż i tak tato musi cały dzień spędzić na polu. Przez prawie całe wakacje pomagam rodzicom, gdyż zawsze jest jakaś praca. Gdy gdzieś wyjeżdżam, to przeważnie na tydzień do babci i tak mijają moje wakacje.

To już chyba wszystko, co mogłam powiedzieć o sobie, swoich zainteresowaniach i pasjach. Jestem przekonana, że w życiu osiągnę dużo. Mam wiele pomysłów, potrafię pracować, znam swoją wartość. Ponadto jestem sympatyczną, życzliwą osobą, która ma wielu przyjaciół i to jest moje bogactwo. Na lekcji języka polskiego usłyszałam zdanie: „Gdziekolwiek żyjesz, żyjesz tylko raz”. Ja żyję na wsi, nie czuję się z tego powodu gorsza, mam zainteresowania typowe dla nastolatek, a wiedzę o otaczającym świecie dużo szerszą, popartą bogatym doświadczeniem pracy w gospodarstwie rodziców.

To tu jest mój wielki świat, moje życie

Urodziłam się w małej malowniczej wsi, na pozór podobnej do innych, dla mnie wyjątkowej. To właśnie tu wypowiedziałam swoje pierwsze słowa, zrobiłam pierwsze kroki, niekoniecznie te udane. Tutaj zaczął się dla mnie mój wspaniały, wielki świat. Kryspinów, a przedtem Śmierdząca, dzięki królowi Władysławowi Łokietkowi w 1311 został zwrócony pod opiekę opactwu tynieckiemu. Później jednak nowy właściciel ziem, Kryspin Żeleński, w dużym stopniu przyczynił się do rozwoju wsi. Nie podobała mu się dotychczasowa nazwa wsi i postanowił ją nazwać od swojego imienia Kryspinowem. Ze źródeł historycznych wynika, że początki osad w Kryspinowie sięgają I w.p. n. e. W tamtym czasie na terenie wsi przeważała ceramika lepiona i malowana, charakterystyczna dla kultury przeworskiej. W latach 70. i 90. XIX wieku na terenie Kryspinowa prowadzone były wykopaliska dotyczące cmentarzyska i osady. Odkryto ponad 120 pochówków oraz materiałów z okresy wczesno rzymskiego. Cmentarzysko w Kryspinowie to największe z dotychczas odkrytych w Małopolsce nekropolium kultury przeworskiej. We wsi znajduje się piękny, zabytkowy dworek ze stawem, a także przydrożny krzyż z rzeźbami. Jaskinia Kryspinowska jest jedną z największych jaskiń Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Kryspinów jest wsią bardzo rozwiniętą. Wielu ludzi przyjeżdża nad Zalew Kryspinowski, szczególnie w lecie, aby ochłodzić się w upalne dni.

Swoją każdy dzień zaczynam i kończę z Bogiem, dziękując mu za to, co mam i prosząc o Jego Błogosławieństwo, i żeby czuwał nad naszą rodziną. Od najmłodszych lat byłam wychowywana

w duchu wiary katolickiej. Moja babcia i mama uczyły mnie nowych modlitw i pieśni wielbiących Boga, a także tłumaczyły kazania, których nie byłam w stanie zrozumieć. Nieraz śpiewałam z moją babcią pieśni do Najświętszej Marii Panny. Jedną z naszych ulubionych była pieśń pt.: „Chwalcie łąki umajone”. Każdego dnia majowego, po południu śpiewaliśmy ją, a potem śmiałyśmy się i rozmawialiśmy o dawnych czasach. To właśnie babcia przybliżyła mi czasy II wojny światowej, które sama przeżyła. Opowiadała mi o ludziach, którzy zabierani byli przez oddziały niemieckie do fabryk w Niemczech, na roboty. Płacz, lament i strach o to, czy zobaczy się jeszcze tę ukochaną osobę, nieodmiennie towarzyszyły tym wydarzeniom. Wspominała też o tym, jak musiała uciekać, kiedy Niemcy i Rosjanie wspólnie zajęli naszą wioskę, palili domy i zabijali mieszkańców, a wybierali głównie ludzi wykształconych. Wraz z innymi ludźmi i swoimi dziećmi ukrywała się w pobliskich lasach, czekając w niepokoju na dalszy rozwój wydarzeń. Opowiedziała mi także o pewnym człowieku, który sam odebrał sobie życie, podcinając żyły i nie chcąc korzyć się przed wojskami nieprzyjaciela. Inni znów formowali oddziały i ruszali na wrogów, jednak bezskutecznie. To wszystko było straszne. Jednak w tej krwawej bitwie widać, że mieszkańcy mojej wsi próbowali walczyć, bronić się, choć ich siły były zbyt małe. Babcia nauczyła mnie też, że w życiu należy kierować się zasadą: Bóg, Honor, Ojczyzna, a także miłością i pomocą innym na tyle, na ile jest to możliwe. Sama była osobą bardzo religijną i w każdej wolnej chwili odmawiała różaniec, pograżając się w zadumie i skupieniu. Niekiedy z nią siadałam i razem modliłyśmy się do Boga. Babcia była też moją przyjaciółką. Zawsze mogłam do niej przyjść i wypłakać się, że coś nie wyszło, że się z kimś pokłóciłam albo po prostu wygadać się. Ona zawsze pozwalała powiedzieć mi wszystko to, co leżało mi na sercu, a potem dawała rady, dzieliła się swoimi przemyśleniami albo po prostu przytulała mnie, tym samym dodając otuchy, że w końcu wszystko się ułoży. Była moim Aniołem Stróżem, zawsze mi pomagała, a ja odwodziłam się jej tym samym. Bardzo ją kocham.

„Wierzę, że im bardziej się kocha, tym więcej się czyni, gdyż miłości, która nie jest niczym więcej niż uczuciem, nie mógłbym nawet nazwać miłością.”

Jan Paweł II (Karol Wojtyła)

W lecie każdego ranka budzi mnie piękny, melodyjny śpiew ptaków, któremu towarzyszy delikatny szum wiatru i odgłosu sielskiego życia. Promienie słońca wpadające przez okno oznajmiamy mi, że pora wstawać, zacząć dzień, obowiązkowi, na nowo odkrywać to, co od tylu lat znam.

„Każdy dzień to odrobina życia: każde przebudzenie, to odrobina narodzin, każdy poranek, to odrobina młodości, każdy sen zaś, to namiastka śmierci.”

Arthur Schopenhauer

Czuję zapach siana, które schnie nieopodal mojego okna. Wczorajszy dzień był jednym z tych pracowitszych. Razem z mamą przewracaliśmy siano, aby się wysuszyło, gdyż pogoda sprzyjała, a słońce ogrzewało twarz. Świeże powietrze i łąka – jedno z najcudowniejszych miejsc na ziemi. To właśnie tam spędzam swoją każdą wolną chwilę, choć jest ich niewiele, gdyż praca w gospodarstwie wre i każda para rąk do pracy jest mile widziana. Łono natury pozwala mi się odprężyć, a także odpocząć i puścić wodze fantazji. Czuję się wtedy jak księżniczka całego świata. Wszystko jest tylko moje: marzenia, krajobraz, będący dla mnie moim królestwem, moim ukrytym miejscem, do którego tylko ja znam drogę. Potem pielęgnowaliśmy jarzyny. Po południu przyjechał kombajnista i skosił dojrzałe już zboże. Następnie zrzuciliśmy je do specjalnych pak, z których później będzie zabierane i zmielone na pasze. Potem zbieraliśmy słomę ze ścierniska. Lubię tę pracę, choć potem mam pokaleczone nogi, gdyż na polu po żniwach zostaje kłujące rżysko. Ale zapach świeżo skoszonej słomy jest wspaniały i wynagradza te rany. Niejedna młoda osoba powiedziałaby, że chce się wyrwać z „tej dziury”, ale po co? Życie miejskie pełne jest

gwaru, ale również spalin i niezbyt ponętnych murów. To nie dla mnie. Ja kocham życie na wsi, w ciszy i spokoju. To właśnie tu się wychowywałam, dorastałam i poznawałam nowy świat. Tutaj każdego dnia uczę się czegoś nowego: jak posiać warzywa, różne zioła, jak się nimi zajmować i jak je pielęgnować, a także jak zrobić nowe grządki. Nabieram wprawy w zajmowaniu się domem i zwykłymi obowiązkami, które zazwyczaj wykonuje mama wraz z siostrą: gotowanie, pranie czy też sprzątanie. Zawsze wydawało mi się, że to takie proste, kiedy widziałam, jak moim rodzicom i siostrze idzie to tak szybko, ale teraz rozumiałam. Lata praktyki pozwoliły im na wykonywanie tak perfekcyjnie i szybko każdej czynności. Kiedy aktywniej zaczęłam uczestniczyć w gospodarce, a także wzięłam na siebie jeszcze więcej obowiązków domowych, rozumiałam, że to nie lada orzech do zgryzienia. Jednak już sobie daję radę. Teraz razem z siostrą wspólnie dzielimy się obowiązkami i pracą, dzięki czemu wszystko idzie szybciej i łatwiej, a także razem jest nam różnie, przyjemniej i milej. Podziwiam rodziców za ich wytrwałość i za to, jak ciężko pracują, żebym miała wszystko to, czego potrzebuję. Są moimi ideałami, ludźmi, których darzę ogromnym szacunkiem i bardzo sobie cenię. To od nich uczę się tak wiele i dzięki nim rozumiem myślenie i bieg dzisiejszego świata.

„Rodzina to jeden z najwspanialszych pomysłów Pana Boga.”

Damian Zimoń

Lato na wsi jest wspaniałe. Zapach kwiatów, ziół, śpiew ptaków i kolorowy krajobraz. Wszystko, co najpiękniejsze. Lekki wietrzyk kołyszący łąki pełne dmuchawców i drzewa pełne dojrzewających owoców. Wieczorem słychać rechot żab i koncert świerszczy w pobliskim gąszczu. Uspokajający błękit nieba. To wszystko jest jak krajobraz z bajki, ale tylko dla uważnych. Lato jest porą bardzo gorącą i słoneczną. Rzadko kiedy spadnie deszcz. Zarówno ludziom jak i zwierzętom jest bardzo gorąco, dlatego też zawsze w bardzo upalne dni, po południu zabieram swoje dwa pupile nad rzekę, która płynie nieopodal mojego domu. Zawsze kiedy widzą, że zmierzam

w ich stronę, merdają ogonami i zaczynają po mnie skakać. Kiedy już ruszamy w drogę i dotrzemy do celu, nie muszę ich zachęcać, żeby wskoczyły do wody. Same wbiegają do niej z wielką radością i pływają, tym samym chłodząc się. Ja, korzystając z okazji, siadam na brzegu i odpoczywam, jednocześnie rozglądając się za psami, aby nic im się nie stało. Muszę też uważać, żeby nie wskoczyły na mnie całe mokre i ubłocone, gdyż zaraz po wyjściu z wody tarzają się, po ziemi. To jedno z ich ulubionych zajęć.

Jesienią krajobraz zmienia swoją barwę. Wokół coraz więcej kolorowych liści, widać gromady odlatujących ptaków. To też czas wykopów. Warzywa są już dojrzałe i trzeba je zebrać, posegregować i zrobić z niektórych przetwory, a niektóre po prostu zostawić w odpowiednich warunkach, aby podczas zimy nie przemarzły i nie zgniły. Robienie różnych przetworów, sałatek i konserwowanie warzyw to niełatwe zadanie. Trzeba dokładnie umyć słoiki, wyparzyć je i przygotować składniki potrzebne do zalewy, np. do ogórków. Wszystko musi być zrobione najdokładniej i najstaranniej, gdyż jeden mały błąd, a przetwory mogą się zepsuć i nic z nich nie będzie. Po skończonej pracy odkłada się słoiki do spiżarni i za jakiś czas ich zawartość będzie gotowa. Domowe powidła, dżemy, sałatki i warzywa – najlepsze i najzdrowsze na świecie. Rano zaczyna pojawiać się babie lato, niekiedy przymrozki i zaczynają nadchodzić chłodniejsze dni. Czasem deszcz zabębni o parapety, dachy i wraz z wiatrem buszującym wśród kolorowych liści odegrają koncert. Jeziora i rzeki przybierają kolor szarości i mimo że niektórzy ludzie są smutni, ja cieszę się każdym dniem. Dla mnie jesień jest magiczną i tajemniczą porą roku. Mam wtedy wiele czasu na przemyślenia i zrobienia wstępnego podsumowania pracowitego roku, tego, czego się nauczyłam, co nowego poznałam. Przy ciepłym kaloryferze, kubku herbaty i spokojnej muzyce można odpłynąć w marzenia. Jesień to moja pora roku, gdyż to właśnie wtedy przyszłam na świat. Mimo iż większość ludzi pogrąża się w melancholii i smutku, ja nie podzielam ich nastroju. Z uśmiechem na twarzy podziwiam zmieniający się wokół krajobraz, klucze odlatujących ptaków i spokój, który z wolna zaczyna wszystko ogarniać. W tej porze

roku wypadają dwa ważne święta: Wszystkich Świętych i Zaduszki. Jest to czas, kiedy razem z rodzicami odwiedzam groby zmarłych z naszej rodziny, zapalamy znicze, odmawiamy krótką modlitwę, tym samym pokazując im, że pamiętamy o nich, mimo że nie ma ich już wśród żywych. Zawsze przed tymi ważnymi wydarzeniami sprzątam nagrobki, omiatamy liście, wyrrywamy chwasty, myjemy płyty nagrobkowe, wymieniamy kwiaty we flakonie i zapalamy znicze. W tym czasie najbardziej odczuwam brak bliskich mi osób, ale wiem, że są ze mną i pomagają mi na każdym kroku. Mimo że jesienią nie ma zbyt dużo pracy na polu, to jednak wokół domu zawsze coś się znajdzie. Zgrabywanie liści jest jedną z rzeczy, które robię z wielką chęcią. Z siostrą zawsze obrzucamy się suchymi liśćmi i bawimy się jak małe dzieci, mimo że już nimi nie jesteśmy. Te zajęcia pozwala się odprężyć, porzucić smutki i dać ponieść się emocjom, zabawie, a przy okazji pożytecznej pracy. Potem wkładamy liście do worków i wynosimy na kompostownik, który za jakiś czas będzie użyty, aby użyźnić glebę i dostarczyć jej jeszcze więcej potrzebnych minerałów.

Jesienią wykonuje się orkę, której zadaniem jest poruszenie i przewrócenie ziemi, aby można było zasiać na polu zboże ozime, tzw. oziminę. Tata zawsze wykonuje tę pracę, gdyż doskonale wie, jak powinno to być zrobione. Następnie bronuje się pole, tzn. wyrównuje jego teren, rozgniata duże bryły na mniejsze i pozbywa się chwastów, które mogłyby w przyszłości stłumić zboże. Potem rodzice wysypują do siewnika – maszyny, której zadaniem jest wpuszczenie ziarna do ziemi – zboże ozime, a następnie tata obsiewa pole. Praca musi być wykonana bardzo dokładnie, gdyż zboże ozime może nie wzejść. Następnie zostawia się pole w spokoju, aby zboże wykiełkowało i podrosło przed zimą, by mogło ją przetrwać i wiosną podjąć wzrost. Również na jesieni okrywa się wcześniej zebraną słomą bądź sianem młode drzewka i krzewy, aby uchronić je od mrozów i zamieci śnieżnych, które nadejdą wraz z kolejną porą roku: zimą.

Zima to czas, w którym przyroda ukołysana do snu, zasypia, a krajobraz okrywa się szarą, stonowaną barwą, w której trudno

odnaleźć jest choć trochę radości. W kolejnych dniach na ziemię zaczynają spadać białe, puszyste i delikatne płatki śniegu, które sprawiają, że wszystko wokół pokrywa się białą kołderką i zasypia pod nią. Dni stają się coraz krótsze, a noce dłuższe i mroźne. Wiatr, który przedtem delikatnie muskał twarze, teraz sieka je zimnymi podmuchami. Czas wyjąć z szafy ciepłe rzeczy, zimową kurtkę, czapkę, szalik i rękawiczki. Co prawdą zima jest łagodniejsza na wsi, ale, niestety, nie aż tak. Codziennie rano mróz bardzo dobrze daje się odczuć, kiedy szczypie w palce i uszy. Wiatry hulają po polu, wzmagając odczucie zimna. Zima jest wspaniałą, ale mroźną porą roku. Zawsze w mroźne wieczory siadam przy ciepłym kaloryferze z kubkiem ciepłej herbaty z sokiem malinowym domowej roboty i wpatruję się w ciemność za oknem i w wirujące płatki śniegu. To wszystko wydaje się być krajobrazem jak z bajki: drzewa przysypane białą pokrywą, wszędzie zaspy śnieżne i dominujący kolor biały. To wszystko działa na mnie bardzo uspokajająco i odprężająco, dzięki czemu mogę odpocząć i puścić wodze fantazji, dać się ponieść chwili. Boże Narodzenie – te święta to jedne z najwspanialszych w roku. W Wigilię – 24 grudnia – z samego rana kończymy z siostrą porządki, a następnie ubieramy choinkę. W wielu domach obecne są żywe choinki, jednak po skończonych świętach są one wyrzucane i po prostu usychają gdzieś na śmietniku. W moim domu choinka jest sztuczna, jednak prezentuje się tak samo jak żywa i różni się od niej tylko tym, że nie pachnie. Żywą choinkę ubieramy na polu, przed domem, gdzie rośnie wspaniała świerk srebrzysty. Jasne światło lampek choinkowych widać z daleka, rozjaśnia ono również mrok w pokojach. Po skończonej pracy pomagamy mamie w przygotowaniu potraw na stół wigilijny. Dom wypełniony jest aromatem przypraw i wspaniałym zapachem potraw, od którego aż ślinka napływa do ust. Kiedy na dworze zapada zmrok, a dzień zbliża się ku końcowi, nakrywamy do stołu. Obowiązkowo na środku kładziemy talerz z opłatkami i siankiem, a obok ustawiamy puste nakrycie dla nieznanego gościa, który mógłby się pojawić w każdej chwili i należy go ugościć, gdyż każdy powinien spędzać ten wyjątkowy wieczór w gronie rodziny albo przyjaciół. Następnie

stawiamy nakrycia dla członków rodziny. Po tej czynności na stole pojawiają się dwie świece, a także Pismo Święte. Kiedy na niebie pojawi się pierwsza gwiazda, wszyscy gromadzimy się w pomieszczeniu, gdzie przygotowana jest kolacja i wspólnie klękamy do modlitwy. Jako najmłodsza w rodzinie odczytuję fragment Biblii, który opisuje scenę Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, a następnie zaczynamy modlitwę, w której dziękujemy Bogu za to, co mamy i prosimy o to, żeby zawsze z nami był i czuwał nad naszą rodziną. W modlitwie pamiętamy też o zmarłych i również za nich się modlimy. Po skończonej modlitwie mama rozdaje opłatki, zaczynając od osoby najstarszej, czyli babci. W naszej rodzinie okazujemy osobom starszym szacunek, gdyż przeszły one w życiu wiele i należy ich obdarzyć troską, życzliwością i miłością, gdyż tego właśnie potrzebują. Następnie wszyscy dzielimy się opłatkiem i składamy życzenia, niekiedy ze łzami w oczach. Potem z siostrą pomagamy mamie w przyniesieniu potraw wigilijnych. W wielu rodzinach na stole znajduje się dwanaście potraw, jednak w mojej rodzinie liczba dań zamyka się w kręgu czterech lub pięciu. Jako pierwszy podajemy barszcz biały z ziemniakami i grzybami. Jak nakazuje tradycja, zostawiamy trochę dla zwierząt, którym tej nocy również należy się większa uwaga. Drugim daniem jest barszcz czerwony z uszkami z kapustą i grzybami. Następnie podawane są pierogi lub krokiety z grzybami i kapusta. Ostatnim daniem jest karp. W wigilię obowiązuje post, czyli wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych, dlatego w ten dzień nie je się mięsa. Do dwóch ostatnich dań podajemy kompot z suszonych śliwek, który mama sama robiła, jak również wszystkie pozostałe dania. Po skończonej kolacji wraz z siostrą sprzątam ze stołu, a następnie wspólnie śpiewamy kolędy. Najczęściej śpiewana kolęda nosi tytuł „Bracia, patrzcie jeno”.

Święta Bożego Narodzenia to wyjątkowy czas, w którym Pan Jezus przychodzi na świat, aby pokazać nam, jak bardzo nas kocha. To wydarzenie jest w tych świętach najważniejsze i blask choinki czy też prezenty nie powinny przysłonić tego ważnego i wspianiałego wydarzenia. Święta te są pełne zadumy, refleksji i podsumowań, ale

także to czas wielkiej łaski, jaką daje nam Bóg, przychodząc do nas we własnej osobie. W mojej rodzinie właśnie to jest najważniejsze i najistotniejsze. O północy biją dzwony, oznajmiając światu, że narodził się Zbawiciel, który odkupi ten świat. W kościele odprawiana jest Pasterka, podczas której śpiewane są kolędy i wszyscy radują się z przyjścia Jezusa na świat. W naszej parafii po Pasterce, która trwa około dwie godziny wystrzeliwane są fajerwerki, których zadaniem jest podkreślenie tej wielkiej radości, jaka ogarnęła cały świat. Od najdawniejszych lat istnieje przesąd, że w noc wigilijną o północy zwierzęta mówią ludzkim głosem i mogą przepowiedzieć przyszłość, ale lepiej jest ich nie słuchać, gdyż może to przynieść wielkiego pecha. Jaka jest prawda, nikt nie wie, za to powiedzenie: „Jaka Wigilia, taki cały rok” świetnie się sprawdza i jest powtarzane przez wielu ludzi w mojej miejscowości. Kolędnicy nie są nowością i różni chłopcy, a czasem i dziewczyny, chodzą po domach z pięknymi szopkami i kolędują. Jest to naprawdę wspaniały widok, a także miło jest posłuchać kolęd w różnym wykonaniu. Czasem zdarzają się też przebrani kolędnicy. Widać, że tradycje bożonarodzeniowe są w mojej wsi kultywowane. W mojej rodzinie zawsze życzliwie przyjmuje się grupy kolędnicze, obdarza drobnym datkiem, ciastem lub słodyczami. Niedługo po Świętach Bożego Narodzenia nadchodzi Nowy Rok i Sylwester. W mojej wsi święto to jest obchodzone bardzo spokojnie i z wielką radością. Ludzie o północy wychodzą przed domy, odpalają fajerwerki, a korki z szampanów strzelają w niebo i z butelek leje się morze piany. Każdy tradycyjnie wypija kieliszek, a następnie wszyscy z uśmiechem na twarzy składają sobie życzenia noworoczne.

Po mroźnej zimie nadchodzi wiosna. Wszystko budzi się z długiego snu do życia. Ptaki przylatują z powrotem i zaczynają zakładać swoje gniazdko. Na dworze można już poczuć pierwsze zapachy kwiatów, które choć są delikatne, to piękniejsze od jakichkolwiek perfum. Zwierzęta budzą się z zimowego snu i wychodzą ze swoich norek. Ptaszki zaczynają odgrywać swoje pierwsze koncerty, którym towarzyszą delikatne promienie słońca, coraz jaśniejsze i cieplejsze. Niebo zmienia swoją barwę z śnieżno-szarej na błękitną. Na łąkach

zaczyna się pojawiać coraz więcej kwiatów, niekiedy można też zobaczyć jakieś zwierzątko, które wyruszyło na poszukiwanie pożywienia. Wszystko zaczyna nabierać pięknych kolorów, a zapachy ziół, trawy i kwiatów stają się coraz intensywniejsze. Zboże ozime zaczyna rosnąć i dojrzewać. Latem będzie je można zebrać. Zaczyna się też okres prac polowych. Tata orze nieobsiane pola, aby poruszyć ziemię zastaną przez tyle miesięcy, ściśniętą lodem i przysypaną śniegiem. Jednak z obsianiem trzeba będzie trochę poczekać, aż ziemia przeschnie i się ogrzeje, bo zbyt wczesne sianie może spowodować, że rośliny nie wejdą. W tej porze roku wypadają kolejne ważne święta: Wielkanoc. Przedtem jest czterdzieści dni postu, podczas których nie powinno się uczestniczyć w żadnych hucznych zabawach. Triduum Paschalne poprzedza Wielkanoc. Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobota. W Sobotę Wielkanocną razem z siostrą idziemy poświęcić pokarmy na stół wielkanocny. Po powrocie do domu dzielimy się jajkiem i składamy życzenia. Niedziela Wielkanocna jest zakończeniem postu i czasem wielkiej radości ze Zmartwychwstania Jezusa. Drugim z kolei dniem jest Poniedziałek Wielkanocy – lany poniedziałek. W mojej miejscowości zawsze w ten dzień woda leje się strumieniami. Istnieje bowiem przesąd, że jeśli młoda dziewczyna nie zostanie oblana wodą, nie wyjdzie za mąż i zostanie starą panną. Chłopcy z naszej wsi bardzo dbają o to, żeby żadnej z nas to nie spotkało i wiadra wody leją się obficie, dlatego trzeba uważać, aby cała jego zawartość nie została wylana dziewczynie na głowę. Wszyscy mają wiele frajdy i radości, zarówno dziewczyny jak i chłopcy, mimo że panny mają trochę gorzej. Nikt jednak się za to nie obraża i wszędzie słychać śmiech i piski. Nawet ksiądz w kościele symbolicznie kropi wodą święconą zebranych na mszy, aby tradycji stało się zadość. Maj jest miesiącem Maryi, dlatego też każdego wieczoru pod kapliczką odprawiane są majówki i śpiewane są pieśni maryjne. Wszyscy zbieramy się przy okolicznych kapliczkach, na wspólnym śpiewie i modlitwie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto urozmaici nam te wspólne spotkania grą, np. na akordeonie. Taka tradycja panuje u nas już od najdawniejszych czasów. Najczęstszej śpiewamy pieśni, w których powierzamy Matce

Bożej naszej rodziny, zbiory i prosimy, aby dopomagała w trudzie codziennym, a także te, które wychwalają Maryję i dziękują jej za wszystko. Jedną z moich ulubionych jest pieśń pt. „Była cicha”.

Kiedy już robi się coraz cieplej, łąki prawie w całości pokrywają kwiaty i zioła, a w sadach brzęczą pszczoły, które zapylają piękne kwiaty na drzewach, rolnicy zaczynają pracę w polu. Razem z rodzicami zaczynamy obsiewać pole zbożem, sadzimy ziemniaki i wysiewamy różne warzywa i potrzebne zioła. Pracy jest bardzo dużo i każda para rąk jest potrzebna. Kiedy warzywa już wykiełkują, należy je przerwać i starannie wyplewić, gdyż chwasty mogłyby je zniszczyć i wszystko by przepadło. Każdy rolnik czeka również na burzę, gdyż mówi się, że grzmoty i pioruny otrząsają ziemię ze śladów zimy i pozwalają jej całkowicie zbudzić się do życia, tym samym wróżąc dobre zbiory. Tak uważali moi dziadkowie i ich rodzice, w to wierzy mój tata, więc pewnie takie sytuacje się sprawdzają.

Jak widać – życie na wsi jest dość ciężką i mozolną pracą, jednak wśród obowiązków dnia codziennego można znaleźć odrobinę czasu na odpoczynek i poznanie otaczającej nas przyrody. Sama wychowuję się w tym środowisku, a pracy na roli nie jest dla mnie nowością, jednak nie zamieniłabym tego na nic innego. Wieś jest dla mnie prawdziwym domem, w którym jestem w stanie odnaleźć spokój i równowagę, gdzie piękny śpiew ptaków jest dla mnie najwspanialszym koncertem, a zapach kwiatów i ziół działa jak narkotyk, który pozwala odciąć się od problemów i trudów, znaleźć spokój i ukojenie. Wiatr, słońce, czyste powietrze, łąka – dla mnie to wszystko jest lepsze niż najdroższy sprzęt elektroniczny, komputer czy telewizor. Dorastałam wśród tego spokoju natury, ludzi życzliwych i uśmiechających się, przez których zawsze jestem mile traktowana. Gdy idę drogą, każdy obdarza mnie życzliwym uśmiechem, który odwzajemniam z miłym słowem, czy też zwykłym dzień dobry. Dla samotnych, starszych osób rozmowa z kimś jest wielką radością i wszystkim, czego mogą pragnąć w tych ostatnich chwilach swojego życia. Dlatego z wielką radością poświęcam im choćby pięć minut, które dla nich wydaje się być bardzo długim

czasem. W mojej wsi wszyscy są dla siebie życzliwi, szanują się i żyją w zgodzie. To wszystko jeszcze bardziej daje mi do zrozumienia, że to właśnie tu powinnam zostać, że tu jest moje miejsce i ja to czuję. Wieś jest czymś wspinałym. Każdego dnia można odkryć coś nowego, jeszcze bardziej zagłębić się w to, co już się zna. Wszystko biegnie swoimi torami z ogromną precyzją. Żaden mały błąd nie spowoduje, że wszystko posypie się jak domek z kart. Zastanówmy się czasem nad tym, jak to jest żyć na wsi i czy warto obrażać ludzi i gardzić tymi, którzy wywodzą się z tego środowiska.

Ludzie naprawdę mądrzy i inteligentni cenią wieś, a wielu spośród nich właśnie ze wsi się wywodzi, jednak nikt o tym nie pamięta.

Ojczyzna moich dziadków – moją ojczyzną

Rozdział 1 *„Nowy uczeń”*

Był to piękny, ciepły, słoneczny, wrześniowy dzień. Pierwszy września. Być może dla niektórych był trudny: masa mozolnej pracy w nowym roku szkolnym, sarta zadań domowych i biedne ręce, wymęczone mnóstwem notatek z lekcji. A przede wszystkim setki, tysiące godzin, spędzonych w szkole i w domu na uczeniu się, żeby mieć dobre oceny na pierwszy semestr i zakończenie roku. Ja jednak cieszyłam się z tego, że wreszcie wracam do szkoły po dwóch miesiącach rozłąki ze znajomymi i moją klasą. Lubię też odrabiać zadania.

Idąc na przystanek autobusowy, wsłuchiwałam się w piękny śpiew ptaków. Widziałam drzewa, na których dojrzewały jesienne owoce. Ach, jak to miło mieszkać na wsi! Nie ma takiego dużego ruchu na ulicy. Powietrze jest czyste. Z oddali słychać warkot silnika traktora, który właśnie wykonuje prace polowe. Ten odgłos także dla mnie jest ciekawy, bo lubię pracować w polu, pomagając rodzicom, w wielu pracach przy zbiorze owoców czy warzyw.

W szkole przywitałam się z innymi uczniami, którzy przechodzili korytarzem, a nauczycielom powiedziałam „dzień dobry!”. Chwilę później całą szkołą zebraliśmy się na sali gimnastycznej. Pani dyrektor zrobiła apel z okazji rozpoczęcia roku szkolnego. I tym sposobem zaczęliśmy drugą klasę gimnazjum. Ale pierwszy września, to nie tylko czas powrotu do szkoły. To również rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Trzecia klasa przygotowała przedstawienie

związane z tymi tragicznymi wydarzeniami. Wydarzenia historyczne są mi również bliskie, gdyż lubię historię.

Po zakończeniu uroczystości udaliśmy się do klas. Niby wszystko było po staremu, ale w pierwszej ławce siedział ktoś, kogo nie znałam. Miał śniadą cerę, brązowe, krótkie włosy. Pani powiedziała: „To jest Matt Black, nowy uczeń naszej klasy. Przyjechał do nas ze Stanów Zjednoczonych, z Waszyngtonu”. Chłopiec wstał i przywitał się z nami.

Dziewczyny z naszej klasy zasypały Matta mnóstwem pytań. Poprosiły go też o numer telefonu. Chłopiec nie zdążył na wszystkie odpowiedzi, ani nie podał numeru, ponieważ pani poleciła, aby na razie dać mu spokój. Ja nie zaliczam się do takich natrętnych dziewczyn i nie podeszłam do niego z kartką i długopisem, jak inne. Poza tym jestem troszkę nieśmiała. Wolę zdecydowanie obserwować jakieś zdarzenie, niż kierować jego rozwojem.

Nauczycielka podała nam plan lekcji i rozmawialiśmy chwilę o sprawach organizacyjnych. Aha, jutro pierwszą lekcją będzie matematyka. Po skończeniu rozmowy wszyscy udaliśmy się do drzwi. Ale pani powiedziała, żebym została w klasie jeszcze na sekundę. Wystraszyłam się bardzo, ponieważ nic nie przeszkrobałam! Nauczycielka zapytała mnie, czy nie mogłabym porozmawiać z Mattem i oswoić go z nową sytuacją. Zdziwiłam się, że to ja dostałam taką funkcję, ale przystałam na tę propozycję. Pani była mi bardzo wdzięczna. A ja pomyślałam, że babcia i mama zawsze mi powtarzały, aby słuchać próśb i wykonywać polecenia nauczycieli. Ot, taki zwykły zwyczaj rodem ze wsi, gdzie dzieci zawsze wychowywano w poczuciu grzeczności i obowiązkowości, ale także posłuszeństwa i szacunku dla starszych.

Następnego dnia podeszłam do Matta. Nie mówiłam mu, że wychowawczyni mi to zleciła:

- Cześć, Matt, co u ciebie? – zapytałam.
- Wszystko w porządku, dzięki, że pytasz – odpowiedział.
- Jak się czujesz w nowej szkole?
- Bardzo dobrze, choć trochę tęsknię za kolegami z Waszyngtonu. Ale tutaj też mi się bardzo podoba. Nauczyciele są bardzo mili.

Uczniowie też. A Mników, to bardzo ładna miejscowość. Mieszkasz tutaj?

– Nie, ja mieszkam w Czułowie, to sąsiednia wieś.

– Aha.

– Bardzo ładnie mówisz po polsku – pochwaliłam go, ponieważ naprawdę mówił tak wyraźnie, że czasem myślałam, że on żyje w Polsce od zawsze.

– O, dzięki – uśmiechnął się i zaczął opowiadać – to dlatego, że mój tata pochodzi z Polski, z Krakowa. Tam się urodził i wychował. Gdy miał dziewięć lat, wspólnie z rodziną przeprowadził się tutaj, do Mnikowa, ponieważ w mieście jest duży ruch, pełno samochodów, zanieczyszczeń, brak świeżego powietrza. Poza tym moi dziadkowie zawsze chcieli mieć piękny ogród, więc długo szukali odpowiedniej działki. W końcu znaleźli taką właśnie w Mnikowie. Od razu im się spodobała. A kilka lat później wybudowali dom, a następnie posadzili kwiaty, drzewa, krzewy i tak powstał ogród. Z radością się do niego wprowadzili. Tata był bardzo zdolnym i ambitnym uczniem, toteż mógł studiować w Stanach Zjednoczonych. Zdobyl zawód kucharza. Gotował świetnie i kilka lat później został szefem kuchni w najlepszej restauracji w Nowym Jorku. Poznał tam moją mamę, Monicę, ja urodziłem się w rok po ich ślubie. Od początku byłem dzieckiem dwujęzycznym, gdyż tata chciał, żebym kiedyś zamieszkał w Polsce, bo to naprawdę piękny kraj, a prawdziwe piękno widoczne jest na wsi. Na początku tego nie rozumiałem, ale uczyłem się dwóch języków. Babcia przyjeżdżała do nas często. Chciałem, żeby mi opowiedziała o wsi, ale ona przecież prawie przez całe życie mieszkała w Krakowie, a to przecież miasto. Zależało mi, aby przyjechać do Mnikowa, tam się uczyć i odkrywać wieś. A szczególnie cofnąć się do czasów, kiedy ludzie żyli zupełnie inaczej, niż dzisiaj – wytłumaczył mi.

– Bardzo ciekawie opowiadasz. Wywnioskowałam z tego, że chcesz poznać dawne zwyczaje polskiej wsi. Chcesz wiedzieć, jak dawniej ludzie żyli, co było dla nich ważne, jak świętowali i pracowali, mam rację? – podsumowałam.

– Tak, i to absolutną. A wiesz, co ciekawi mnie najbardziej? – zapytał.

– Co takiego? – zaintrigowana zapytałam.

– Druga wojna światowa pewnie była straszna. Moja babcia jest stosunkowo młoda, bo ma 59 lat, więc tego nie może pamiętać. A ja tak bardzo chciałbym się o tej wojnie czegoś dowiedzieć... – zadumał się – ale nie z podręczników do historii, ale ze wspomnień ludzi, którzy ją jeszcze pamiętają.

– Wiesz, co? Znam kogoś takiego, to pani Agnieszka Fiutowska, która mieszka w Czułowie i ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Moglibyśmy kiedyś ją odwiedzić i porozmawiać. Może zechce z nami powspominać wojenne czasy? Co ty na to? – złożyłam propozycję.

– Ale czy ta pani się zgodzi...?

– Porozmawiam z nią, wyjaśnię wszystko i zapytam. Ale uważam, że na pewno się zgodzi z nami trochę na ten temat porozmawiać, bo lubi wspominać. Ta pani bardzo dużo pamięta z dawnych czasów – powiedziałam.

– Dziękuję bardzo. Chętnie pójdę tam z tobą. Wiesz, co? Widzę cię dziś po raz drugi, a już cię bardzo polubiłem. Wspaniała z ciebie koleżanka – stwierdził Matt.

– Dziękuję – odparłam trochę zdziwiona – a z ciebie bardzo miły kolega.

Po tych słowach pożegnaliśmy się i udaliśmy się do szatni, ponieważ był to już koniec lekcji. Rzeczywiście, bardzo miły chłopiec z tego Matta. A do pani Agnieszki pójdę na sto procent. Niech Matt poznaje dawne polskie zwyczaje i życie prostych ludzi na wsi podczas II wojny światowej. Pewnie i ja się sporo przy okazji dowiem.

Rozdział 2 *„Cudowny chłopiec”*

Jeszcze tego samego dnia poszłam do pani Fiutowskiej. Zapukałam do drzwi jej starego domu. Otworzyła mi. Przedstawiłam się i powiedziałam, o co chodzi:

– Mam w klasie nowego kolegę. Przyjechał ze Stanów Zjednoczonych. Niedawno zamieszkał w Polsce, w Mnikowie. On chciałby

się dowiedzieć czegoś o dawnych zwyczajach na wsi, interesuje go szczególnie II wojna światowa. Czy mogłaby pani poopowiadać nam o tym?

– A gdzie jest ten chłopiec? – zapytała zaciekawiona.

– On w tej chwili jest u siebie w domu, w Mnikowie. Chciałam na razie zapytać, kiedy moglibyśmy przyjść do pani razem – odpowiedziałam.

– To może w poniedziałek? – zaproponowała.

– Dobrze, bardzo chętnie – zgodziłam się – To na razie dziękuję, a w poniedziałek przyjdziemy do pani o siedemnastej.

Wróciłam do domu i opowiedziałam o wszystkim mamie. Mama, jak to mama, zaczęła wypytывать o Matta. Powiedziałam jej wszystko, co o nim wiem. Zgodziła się, żebym w poniedziałek poszła z kolegą do pani Agnieszki.

W poniedziałek, gdy lekcje dobiegły końca, czekałam w szatni na Matta. Po wyjściu ze szkoły, autobusem, którym zawsze jadę do i ze szkoły, pojechaliśmy do Czulowa.

Zesliśmy z wysokiego pagórka, pod który codziennie wychodzę, idąc do szkoły. Matt miał okazję zobaczyć wysoką jabłoń, uginającą się pod ciężarem dojrzałych owoców. Chłopiec powiedział, że bardzo lubi jabłka. Pod drzewem było dużo tych owoców. Wśród nich wypatrzyłam dwa ładne jabłuszka. Jedno wręczyłam nowemu koledze, a drugie zjadłam. Były bardzo smaczne i słodkie. Ale chwilę potem przypomniał mi się, że mamy iść do pani Fiutowskiej. Szliśmy, a ja myślałam, że w chwili, kiedy nie bardzo wiadomo, co mówić do mało znanej osoby, obserwacja przyrody jest bardzo dobrym rozwiązaniem. Bo mój nowy kolega bacznie i z widoczną przyjemnością patrzył na mijane ogródki przydomowe, sady i domy. Jego mina mówiła, że był zadowolony i odczuwał błogi spokój.

Starsza pani powitała nas przyjaźnie, przyjrzała się Mattowi i powiedziała, że choć urodził się w Ameryce, urodę ma naszą, polską, widocznie wrodził się w ojca, Polaka. Potem były wspomnienia o ciężkim życiu w Czulowie podczas II wojny światowej. Widziałam, że trochę z niedowierzaniem słuchał o tym, że ludzie

żyli biednie, że przy domach mieszkalnych często były stajnie, bo tak było ciepłej.

– Wy znacie inny świat i inne życie – mówiła pani Agnieszka – Ja w życiu dość biedy zaznałam i niejedno widziałam, ale, gdy było nam tu w wojnę trudno, to więcej modliliśmy się i zawieraliśmy nasz los Bogu.

– Magda wie – zwróciła się do Matta – bo w Polsce urodzona i wśród swoich wychowana – że na wsi ludzie byli i są głęboko wierzący. Nasza religia i modlitwa są nam bardzo drogie.

Ja doskonale rozumiałam panią Agnieszkę. Matt chyba mniej. Dla mnie religia i wiara w Boga to coś naturalnego. Od najmłodsze-
niejszego dzieciństwa, rodzice zabierali mnie do kościoła na mszę. Często z babcią uczestniczyłam w nabożeństwach majowych i czerwcowych, śpiewanych przez starsze i młodsze mieszkanki Czułowa przy kapliczce, stojącej w Gaju, przysiółku Czułowa, niedaleko mojego domu. Nie wyobrażam sobie niedzieli bez mszy świętej. Zawsze w niej uczestniczy cała moja rodzina, to dla nas naprawdę ważne i wiem, że tak jest w prawie wszystkich rodzinach, żyjących na wsi, bo tak żyli moi dziadkowie, a ten zwyczaj kontynuowali po swoich przodkach. Ale Matt? Na razie nie wiedziałam, co o tym sądzi.

Tak rozmyślałam, a tym czasem pani Agnieszka, opowiadała o ciężkim życiu w Czułowie podczas okupacji hitlerowskiej. Wielu mieszkańców doznało prześladowań ze strony Niemców.

Na cmentarzu w pobliskich Liszkach – kontynuowała pani Agnieszka – jest masowy grób z czasów II wojny światowej: 28 osób, pochowanych razem. Zostali oni zamordowali dlatego, że kazano im wybierać między Polską a Niemcami. Wszyscy powiedzieli, że są za Polską. Niemcy zabierali bogatym ludziom ich domy oraz gospodarstwa i oficerowie niemieccy w nich mieszkali. Był taki Niemiec, przezywany przez mieszkańców „Skąpskim”. To przezwisko wzięło się od tego, że ten pan miał koło swojego dworu piękne, kuszące swoim kolorem borówki. Nikomu nie wolno było ich zrywać, tylko jemu. Gdy ktoś jednak przeciwstawił się temu zakazowi, Skąpski, wysypywał borówki z garnka, a garnek deptał. Żaden Niemiec nie

miał litości nad biednymi ludźmi. Tutaj w domu, w jednej izbie, przez trzy lata ukrywała się u nas jedna rodzina. Wojna trwała sześć lat. Niczego nie było za dużo, chleba brakowało, ale ludzie dzielili się, czym mogli, choć w biedzie strasznej, ale przeżyli. Chłopi są wytrzymali i twardzi. I wiedzą, że życie ludzkie trzeba szanować, a z tymi, którzy potrzebują, trzeba się dzielić.

Matt słuchał jak zaczarowany. Ja trochę znałam te czasy z opowieści moich dziadków. Z całego serca cieszę się, że nie żyłam w tych tragicznych czasach wojennych.

– Dobrze z was dzieci – mówiła pani Fiutowska – wiecie, co naprawdę ważne w życiu człowieka, co ma prawdziwą wartość. Madziu, czy opowiedziałas koledze o swojej szkole podstawowej? Przecież imię tej szkoły, to historia II wojny światowej.

– Proszę pani, nie zdążyłam jeszcze Mattowi niczego opowiedzieć, zbyt krótko się znamy. Ale z prawdziwą przyjemnością wysłuchamy pani opowieści – odparłam lekko speszona.

Wtedy pani Agnieszka opowiedziała nam historię Antoniego Sewiołka, czułowianina, który został zamęczony przez Niemców podczas II wojny światowej. Pastwiono się nad nim strasznie, bito, męczono go, poniewierano nim, a na koniec wyłupano mu oczy. Tej strasliwej zbrodni dokonali hitlerowcy tylko dlatego, że pan Antoni był Polakiem i nie chciał zdradzić Polaków.

Mieszkańcy Czułowa są dumni z postawy pana Sewiołka. Żeby uczcić jego pamięć, nadano Szkole Podstawowej w Czułowie imię tego bohatera.

– Ludzie ze wsi szanują swoich. A jakby jeszcze ktoś ucierpiał od wroga, dbają o to, by pamięć o męczeństwie Polaków nie zaginęła. Dlatego i ja wam o tym opowiadam.

– Dziękujemy pani za piękne opowieści. Dzięki nim poznaliśmy dawne obyczaje polskiej wsi. Nie będą już one dla nas zagadką! – podziękował Matt.

– Bardzo mi miło – uśmiechnęła się pani – A powiesz mi jeszcze, skąd jesteś?

– Mieszkam w Waszyngtonie, w Stanach Zjednoczonych. To jest Ameryka Północna. Ale pod koniec wakacji przyjechałem do

Mnikowa, do babci i dziadka. Postanowiłem tutaj chodzić do szkoły, ponieważ Polska to naprawdę piękny kraj.

– No, podziwiam cię, Matt. Bardzo wyraźnie mówisz po polsku.

– Od początku byłem dzieckiem dwujęzycznym. Tata urodził się i wychował w Polsce, więc od niego uczyłem się języka polskiego, a od mamy – angielskiego.

– Cudowny z ciebie chłopiec, Matt.

– Dziękuję.

Pożegnaliśmy się z panią Agnieszką Fiutowską i wyszliśmy z jej podwórka. Matt był bardzo zadowolony z tego, że mógł tyle usłyszeć o wsi w dawnych czasach. Nawet nie zauważyłam, a on cały czas notował to, co pani opowiadała! Rzeczywiście, cudowny chłopiec z tego Matta.

Długo po rozstaniu z kolegą myślałam o wszystkim. Dobrze jest żyć na wsi, wśród ludzi, z których tylko nieliczni pracują na roli. Choć ciężka to praca, mają siłę wieczorem opowiadać o tym, co było dawniej. Chcą przekazać historię widzianą oczami prostych ludzi, zaświadczyć o naszej przeszłości. O, to bardzo cenne, ja to rozumiem! Dobrze, że są chłopcy tacy, jak Matt, co chcą poznać historię i obyczaje kraju ojczystego swoich rodziców i dziadków. A jak go to interesuje! Pani Agnieszka ma rację: to naprawdę cudowny chłopiec!

Rozdział 3

„Wędrówka po wiejskich obyczajach”

Następnego dnia było dużo lekcji i pierwsze zadania domowe. Uważałam na każdej, chcę się dobrze uczyć. Po lekcjach znowu rozmawiałam z moim nowym kolegą.

– I co, Matt, wystarczy ci tyle wiadomości? – zapytałam.

– Nie, chciałbym dowiedzieć się jeszcze więcej – odpowiedział Matt.

Tym razem naszym rozmówcą był mój wujek, niewiele młodszy od pani Agnieszki. Mieszkał w pięknym, starym, drewnianym

domu, stojącym w głębi sadu. Przywitała nas ciocia Zosia, jego córka i obiecała, że go zawoła.

Chwilę później wujek Stefan przyszedł do nas i się z nami przywitał:

– Dzień dobry. O, widzę, Madziu, że masz nowego chłopaka!

– To jest Matt Black, mój nowy kolega. Mieszka w Mnikowie, ale przyjechał z Waszyngtonu – odrzekłam szybko, żeby Matt nie musiał po raz trzeci mówić tego samego i dlatego, że się trochę zmieszałam.

– Zosia mówiła mi, że chcesz się czegoś dowiedzieć o obyczajach polskiej wsi, Matt. Jestem bardzo zadowolony, że chcesz poznać naszą Małą Ojczyznę – wujek pochwalił mojego kolegę – Wiem też, że twój dziadkowie, to rodowici krakowianie.

– Tak – odpowiedział Matt – Bardzo mi zależy na poznawaniu wiejskich obyczajów.

– Skoro chcesz, chętnie opowiem! Niewielu młodych to interesuje.

– To może zaczniemy od żniw?

– Prosimy – siedzieliśmy już wygodnie przy stole, na którym ciocia postawiła wyborny placek z jabłkami własnej roboty.

– Najpierw były żniwa. Zboże koszone kosami. Tatuś układał kłosa na tak zwanej ścianie i popychał je kosą, dokąd to było możliwe. Mamusia w tym czasie szła bokiem i zbierała kłosa „w garście”. Rodzice układali z nich także snopeczki i kopki, które niektórzy ludzie nazywali mendlami. Gdy niebo się zachmurzyło, to trzeba było bardzo szybko związać te snopki, bo w każdej chwili mógł padać deszcz. Tatuś je trzymał, a mamusia wiązała je w górze. Po związaniu, układali je do kopy, która była usztywniona i ściśnięta. Jeden snopek się zostawiało i łamało w połowie. Potem się go rozcapierało, aby był szerszy, po czym przykrywało się nim kopę i tak tworzył się chochoł. Deszcz nie mógł zmoczyć od środka takiego chochoła. A omłoty? To równie ciężka praca, bo młócono cepami. Trzeba było trzy lub cztery razy zbić każdy kłos, aby ziarenko z niego wyszło.

– Praca przy żniwach była bardzo ciężka! Ale chłopci są bardzo wytrwali i pracowici – stwierdził Matt.

– Tak, wszystko powstało dzięki ciężkiej pracy ludzi. Polski chłop zawsze był twardy, a ziemię kochał nad życie!

– O, widzicie, te wasze nowomodne spodnie to z bawełny amerykańskiej, u nas chłopci len uprawiali. Chcecie posłuchać, jak to było?

– Chętnie posłuchamy – oznajmiłam.

– Było to w czasach po I wojnie światowej. Wieś żyła biednie. Żeby móc sprawić sobie nowe ubrania, ludzie musieli sami utkać płótno. Siano len jak przed wiekami na wsi. Kobiety międlili len na specjalnych urządzeniach. Nazywano je międlicami. To samo robiły też z konopiami. Wymiędlony len przędły, po czym robiły z niego kule. Z włókien z nich przędły nici, z których na warsztatach tkackich tkwały płótno. Pani Katarzyna Kruk, która kiedyś mieszkała w Czułowie, na specjalnym wózku – urządzeniu do szycia, szyła spodnie. No i tak powstawały ubrania, które kiedyś nosili mężczyźni.

Roślina lnu, po wysuszeniu, składa się ze słomy, ziaren i włókien. To właśnie z włókien robi się później tkaninę na spodnie. Ale najpierw trzeba było oddzielić słomę od ziaren i włókien. W tym celu kładło się wysuszony len na łące, gdzie była rosa, żeby zmięknął. Następnie włókna lnu wkładało się do międlicy. Potem przekładano len na jedną deskę, a drugą się go przyciskało. Trzeba było robić to bardzo szybko. Chwilę potem należało podnieść tę wierzchnią deskę. Pod nią znajdowały się proste, czyste łodyżki, które już nadawały się do przędzenia i na nici. Zakręcało się je i kładło na stosiku. Len, który zostawał w szparach między deskami, kładło się na drugi stos. Włókna rozwijało się na szpulki, dawało się je na kołowrotek i przędło. Natomiast z ziaren lnianych tłoczyło się olej lniany. Dziś już tego nikt nie robi ręcznie. Komu by się chciało tak ciężko pracować? Ale co tam będziemy się smętnie nad tym zastanawiać! Co wy, młodzi, narzeczonymi chcecie zostać? – żartował wujek – Ho, ho, teraz to młodzi sami o sobie decydują i małżonków sobie wybierają. Dawniej, w czasach mojej młodości, nie tak było, nie! Ale to pewnie was niewiele obchodzi!

– Wprost przeciwnie, wujku. Opowiedz nam, proszę, jak to dawniej na wsi kojarzono małżeństwa. Ale my nie chodzimy ze sobą – wyjaśniłam.

– O, to tylko takie żarty, jedzcie ciasto i pijcie herbatę, lipowa, kwiaty sama Zosia zbierała! No, śmiało, pałaszujcie i jak chcecie, to posłuchajcie – zachęcał serdecznie.

– Chłopak „zamawiał sobie dziewczynę”. Pomagał mu w tym swat albo swatka. Nie dopuszczano, aby chłopcy chodzili podrywać dziewczyny na drugi kraniec wsi. Wybierano często pannę z sąsiedztwa. Jak już dochodziło do zaręczyn, to sobie szykowano wesele. Pan młody musiał okupić swoją przyszłą żonę: musiał dać družbom za nią kilka flaszek wódki. Potem wprowadzano narzeczonego do izby, gdzie czekała panna młoda – wprowadzały go drużny. Muzyka grała, aż się serce rwało! A młodzi byli pięknie ubrani w ludowe stroje odświętne, kolorowe, często dziedziczone po dziadkach! Po błogosławieństwie, a błogosławili obrazem – jechali bryczką i końmi do kościoła! Całe wesele jechało wozami albo wszyscy szli pieszo, w orszaku, porządnie, jak stary obyczaj nakazywał. Oj, było pięknie i uroczyście, a wesela były w niedzielę, dzień pański, co było bardzo ważne dla pracowitego chłopca i dziewczynki. Sakrament małżeństwa, to była święta rzecz! – rozrzewnił się wujek.

Zmęczony opowiadaniem umilkł, a Matt i ja też siedzieliśmy cicho. Myślałam o tym, co mówił wujek. Rozumiałam to doskonale! Wierność w małżeństwie, szacunek dla przysięgi małżeńskiej były też niezmiennie ważne w mojej rodzinie. Babcia o dziadku często mówiła „mój ślubny”, a minę zawsze miała poważną i urozystą. Chciałabym kiedyś mieć taki szacunek dla sakramentu małżeństwa. Wierzę, że mi się to uda.

– No, coście się tak zadumali? – zapytał wujek.

– Pan bardzo ciekawie opowiada, a te zwyczaje weselne nie były mi znane – odpowiedział Matt.

– Wszystko uległo zmianie na przestrzeni wielu lat. Teraz te obrzędy wyglądają zupełnie inaczej – wyjaśnił wujek.

– Interesuje mnie, co i jak ludzie dawniej jedli – oznajmiłam.

– Wszyscy domownicy jedli z jednej, dużej miski. Gdy ktoś coś przeskrobał, to nie wolno było mu jeść. Trzeba było jeść szybko, bo jak nie, to inni wszystko zjadali. Nie było potraw mięsnych. Była, co prawda, kiełbasa, ale tak droga, że niewielu ludzi było na

nią stać. Chleb był wypiekany w specjalnym piecu chlebowym. Jedyne ciasto, jakie pieczono, to była tak zwana buchta, czyli ciasto drożdżowe. Na obiad jedzono fasolę, kapustę, ziemniaki kraszone tłuszczem ze słoniny. Jedzono także potrawę, nazywaną fucką. Robiło się ją z mąki pszennej, zalewanej mlekiem. Potem mieszało się ją na gorąco i zagęszczało. Popularnym daniem była polewka, czyli taki sos serwatczany. Chłopi jadali to, co urosło na polach, co wyhodowali na podwórku i w chlewie. Nawet bogatsi niewiele dokupywali, jedzono prosto, ale zdrowo. A pokarm, a zwłaszcza chleb, szanowano! Zanim rozkrojono, gospodyni kreśliła na nim znak krzyża. Kawalek, który upadł na ziemię, podnoszono i z szacunkiem całowano. Rodzice pilnowali, żeby dzieci szanowały chleb, uczyli, że ciężko na niego trzeba pracować! Szkoda, że dziś nie zwraca się na to uwagi, a chleb się poniewiera! Może po prostu jest go za dużo? – znów zadumał się wujek.

Pora było kończyć rozmowę. Pożegnaliśmy się z wujkiem Stefanem. Gdy wyszliśmy z jego domu, był już wieczór. Zadzwoiłam do mamy, żeby się o mnie nie martwiła i że za chwilę jedzie autobus w stronę Mnikowa, więc pojadę z moim nowym kolegą i go odprowadzę, żeby czasem nie pomylił przystanków, bo miał za sobą tylko jedną taką podróż. Mama się zgodziła.

Po niedługim czasie dotarliśmy na miejsce. Zapytałam Matta, jak podobała mu się opowieść wujka. Odpowiedział, że w życiu nie słyszał tylu ciekawych historii i że jeszcze chciałby usłyszeć coś ciekawego. Obiecałam mu, że się o to postaram. Matt odparł, iż jest mi bardzo wdzięczny, że zgodziłam się z nim pójść do tych osób. Nazwał mnie wspaniałą koleżanką. To miło, że docenił moje starania o nawiązanie kontaktu z mieszkańcami Czuloła. Ten chłopak jest inny od moich kolegów, dla niego ważne są naprawdę wartościowe rzeczy: poznać życie dawnej wsi, obyczaje polskich chłopów, ich przywiązanie do religii, do ziemi, do ciężkiej pracy.

Następnego dnia wychowawczynie zapytała mnie, jak tam moje relacje z nowym kolegą. Odrzekłam, że bardzo dobre i opowiedziałam pani o jego zainteresowaniach, związanych z wiejskimi obyczajami. Wychowawczynie zaproponowała mi, żebyśmy wspólnie

z Mattem opowiedzieli na lekcji historii rezultaty naszych spotkań ze starszymi osobami. Zgodziłam się z ochotą na ten pomysł, ale dodałam, że dopiero za jakiś czas, bo jeszcze zdobędziemy dużo informacji. Pani wyraziła podziw dla naszego zapału i powiedziała, że bardzo dobrze swoim postępowaniem pokazujemy, co dla nas jest ważne. Szacunek dla starszych i do przeszłości świadczy o zainteresowaniu swoimi korzeniami.

Ten tydzień minął szybko. W sobotę pojechałam odwiedzić moją ciocię Helę, która mieszka w Czułówku. Zapytała, co u mnie w szkole. Odpowiedziałam, że jest dobrze i że mam w klasie nowego kolegę – obcokrajowca. Mówiłam jej też, że interesuje się on zwyczajami na wsi w dawnych czasach. Spytałam ciocię, czy mogłabym go jutro do niej przyprowadzić, żeby nam coś opowiedziała. Zgodziła się, a ja zadzwoniłam do Matta, żeby powiedzieć mu o tej nowinie. Bardzo się ucieszył, gdy mu to powiedziałam. Umówiliśmy się na jutrzejsze popołudnie, że pojedę po niego do Mnikowa, gdyż rodzice postanowili zawieźć mnie i mojego kolegę do Czułówka.

Moja ciocia ma gospodarstwo. Koło jej domu jest stajnia, w której chowa: krowę, byka, cielętko i kilka świń. Po podwórku dostojnie chodzi kogut, a tuż za nim, kilka kur. Matt mógł przyrzeć się temu gospodarstwu z bliska. Nigdy wcześniej nie miał takiej możliwości. Następnie udaliśmy się do domu mojej cioci. Przywitaliśmy się z nią, a potem przedstawiłam jej kolegę. Ciocia przygotowała dla nas poczęstunek. Rozsiedliśmy się wygodnie, rozmowa toczyła się gładko, bo ciocia uwielbia opowiadać.

– Inne, trudniejsze, pracowitsze i cięższe było życie w czasach mojej babci – zaczęła swoją opowieść ciocia – zboże mielono na tak zwanych żarnach. Podstawa do nich była drewniana. Na niej stały dwa kamienie. Jeden był unieruchomiony, a drugi był okuty żelazem i się obracał. Do tego drugiego włożony był kij, zwany łagą. Te dwa kamienie tarły zboże. Ale nie same. Trzeba było łagą obracać kamień, co było ciężką pracą, a codziennie trzeba było mieć mąkę dla całej rodziny. Pod żarnami znajdował się pojemnik, do którego

wpadała zmielona mąka. Następnie przesypywało się ją przez sito. Mąka wpadała do naczynia, a otręby pozostawały na sicie.

– Teraz już nie trzeba tak ciężko pracować, a żarna trafiły do muzeów, bo już są niepotrzebne – stwierdziła ciocia – A może teraz opowiem wam o zwyczajach na weselu?

– Chętnie posłuchamy. Coś niecoś o tym opowiadał nam już wujek.

– Na początku dróżki szły do pana młodego i śpiewały piosenki pod jego domem. Potem pan młody szedł po swoją przyszłą żonę. Dróżki znowu śpiewały. W domu, rodzice udzielali młodej parze błogosławieństwa. Do kościoła jechali wozami, które ciągnęły konie. Dzień wcześniej przed domem układano z desek podłogę, aby lepiej było tańczyć. Specjalnie na wesele pędzono bimber. Na przyjęciu każdy gość dostawał ćwiartkę kołacza z pieca chlebowego i garnuszek kawy. Dróżki nie jadły razem z pozostałymi gośćmi. Był dla nich osobny stół, na boku. Jadły na nim jajecznicę, która była w tamtych czasach prawdziwym przysmakiem. Dlatego na boku, żeby nie robić innym ochoty na pyszną jajecznicę, której zawsze było bardzo mało. Na weselach nie było czasem nawet odrobiny kielbasy, która była strasznie droga i mało dostępna. Zdarzało się, że na weselach się bili. Powodem tego było nadmierne spożycie alkoholu lub walka o dziewczynę. O północy były oczepiny, zdejmowano pannie wianek, zakładano chustkę, panna symbolicznie przechodziła ze stanu panieńskiego na zamężny. Na drugi dzień zawsze odbywały się poprawiny, które dzisiaj są bardzo rzadko spotykane.

– Dawniej w domach nie było podłóg, tylko ziemia. Na każdą niedzielę i na święta, domownicy mieszały w naczyniu glinę z wodą. Następnie, powstałą papkę rozcierali na ziemi w domu, żeby było czysto. Taki zabieg należało przeprowadzać bardzo często, niektórzy robili to na każdą niedzielę, ponieważ, jak się chodziło po tej „podłodze”, to ona się brudziła. Żeby szybciej wyschła, zasypywali ją piaskiem, a nadmiar zmiatali ręcznie robioną miotłą z brzozy.

– Już nie będę narzekał, gdy moja babcia powie, żebym umył podłogę w swoim pokoju! Wystarczy tylko, że odkurzę i umyję panele mopem. Dobrze, że nie muszę nakładać na nią warstwy

gliny! Opowiem o tym babci i przeproszę ją za moje lenistwo – obiecał Matt.

– Hahaha – roześmiała się ciocia Hela – koniecznie jej o tym powiedz, a ja opowiem wam teraz o butach: dawniej ludzie chodzili boso. Butów praktycznie nie było w sklepach, a jeżeli były, to kosztowały ogromną cenę. To były buty bardziej dla mieszczan. Natomiast jedyne, które można było kupić na wsi, wykonywał szewc. Koło drzwi na zewnątrz każdego domu, znajdowały się drewniaki, najczęściej tylko jedna para. Gdy ktoś wychodził na podwórze, zakładał te buty. Były bardzo niewygodne. Do stajni wchodził na boso i nawet tak wyrzucali obornik, którego było zresztą bardzo dużo, bo ludzie chowali wiele zwierząt gospodarskich, takich, jak krowy, świnie, czasem owce, kury, gęsi i kaczki. W każdym gospodarstwie rolnym znajdował się obowiązkowo koń.

– Ale na boso do stajni?! – mój kolega bardzo się zdziwił. Ja zresztą też.

– Tak było zdecydowanie najwygodniej – powiedziała ciocia.

– Moja babcia, kiedy chciała iść w zimie na ślizgawkę lub na sanki, musiała najpierw odpowiednio się ubrać. Nie było skarpetek, ani ciepłych, wysokich, nieprzemakalnych kozaków. Żeby wyjść na śnieg, trzeba było starannie owinąć nogi onuckami, zwanymi także cułkami. Były to kawałki materiału. Stosowano je dopiero po wynalezieniu trzewików. Onucki musiały być długie, a zarazem cienkie, żeby mogły bez problemu zmieścić się do butów. I dopiero w takim zabezpieczeniu nóg przed mrozem, można było wyjść na sanki. W takich onuckach było znacznie cieplej niż bez jakichkolwiek dodatków. Ale dzieci i tak były zadowolone i cieszyły się ślizgawką tak, jak wy współcześni, ubrani w ciepłe, nowoczesne ubrania.

Wszystkie ubrania szyto w domu albo były szyte przez krawcową, która była w każdej wsi. Nie było czapek, tylko chusteczki na głowę. Dziewczyny nie chodziły w spodniach, bo nie było takiej mody. Nie było kozaków, tylko krótkie trzewiki, do których sypał się śnieg. A najgorzej miała pierwsza osoba, która szła przez śnieg, bowiem to ona zawsze wpadała w największą zaspę! Dziewczyny

nie miały rajstop, ponieważ jeszcze nie istniały. W zimie musiały chodzić w pończochach.

Żeby wyprasować ubranie, trzeba było rozpałić ogień w piecu kuchennym. Węgiel musiał być rozżarzony. Żelazko miało w sobie duszę. Wyciągało się ją i kładło na rozżarzone węgielki. Gdy już się dobrze nagrzała, to wkładano ją z powrotem do żelazka. Wszystkie te czynności robiono przy użyciu pogrzebacza, ponieważ do rak nie da się wziąć takiego gorącego żelaza. Po włożeniu duszy do żelazka, można już było zacząć prasowanie. Częścią garderoby, która najbardziej wymagała prasowania, była biała, haftowana, płócienna, wykrochmalona wcześniej halka. Każda dziewczyna musiała taką mieć. Zakładała ją pod piękną, szeroką spódnicę w kwiaty.

– Opowiem wam jeszcze o dawnym budownictwie. Domy były z drzewa, kryte słomą. Te dachy nazywano strzechami. Ściana nosiła nazwę drzewki, ponieważ była wykonana z drzewa. Między tymi drzewkami była glina i od czasu do czasu trzeba było wypełniać szpary. Na wiosnę odnawiano każdą ścianę. Malowano je na niebiesko, co według wierzeń ludowych, oznaczało zdrowie. W strzesze robiły się dziury od różnych czynników atmosferycznych i należało, od czasu do czasu, zastąpić stare snopki nowymi.

– Nie było dachówek? – spytał zaciekawiony Matt.

– Nie, dachówki zaczęto produkować trochę później – wyjaśniła ciocia Hela – Dodam, że jak moi rodzice budowali nowy dom, to jedzenie musieli przechowywać w piwnicy. Kładli w misce, na podłodze, na przykład mięso i przykrywali je dużą miską, która stała do góry dnem. Chodziło o to, żeby muchy nie latały nad jedzeniem, a tych owadów było sporo, ponieważ mieliśmy obok stajnię. Inną metodą na przechowywanie jedzenia, było wkładanie go do wiadra i wpuszczanie do studni. A wędliny trzymali w pokrzywach. Było to zabezpieczenie przed ciekawskimi zwierzętami, które z pewnością chciałyby, choć trochę spróbować naszych pysznych, wiejskich wędlin. Musieli stosować takowe metody, gdyż nie mieli lodówek.

– A dzieci pomagały w domu i w polu, jak mogły. Wychodziły na pastwisko, aby paść krowy. Często musiały przechodzić z łąki na łąkę, aby krowa mogła najeść się dużo zdrowej, odżywczej, soczystej,

zielonej i smacznej trawy. Ale były tego dobre strony: krowa dawała przez to najlepsze mleko, na które zapotrzebowanie było bardzo duże. Dzieci chodziły z mlekiem do mleczarni. Znosiły je w bańkach, które zazwyczaj były albo całe białe lub – co się częściej zdarzało – pięknie zdobione motywami kwiatowymi.

Poza tym dzieci nie mogły nie iść na pastwisko, gdy rodzice kazali im tam się udać. Nie mogły powiedzieć: „Nie, nie pójdę!”, bo przeciwstawianie się rodzicom, było wtedy rzeczą karalną, gdyż w domu panowała dyscyplina. Musiały szanować ich i pomagać im zawsze, jak były o to proszone i gdy zachodziła taka potrzeba. Ponadto dzieci nie mogły wdawać się w żadne kłótnie z dorosłymi, ani brać udziału w ich dyskusjach, ponieważ nie miały głosu, a za wtrącenie się w nieswoje sprawy mogły zostać ukarane, gdyż w domu panowała zasada: „Dzieci i ryby głosu nie mają”.

– Ta zasada nie była na pewno zbyt sprawiedliwa! – zauważył Matt – ja chciałbym mieć własne zdanie i móc je wypowiedzieć!

– Tak, ale dzieci musiały słuchać głowy rodziny i bardzo ją szanować – wyjaśniła ciocia – Może to, co teraz powiem, będzie trochę nie na temat, ale czy wiecie, że dawniej, ludzie prawie w ogóle nie musieli chodzić do sklepu?

– To skąd mieli potrzebne produkty spożywcze? – zapytałam.

– Po pierwsze: sklepów było albo bardzo mało, albo nie było w nich towaru. Ludzie mieli swoje własne produkty spożywcze: jajka – od kury, pierze – od gęsi, mleko i jego przetwory – od krowy, mąkę – zmielona na własnych żarnach, chleb – z własnej mąki, wędliny – z własnych zwierząt gospodarskich, owoce – ze swojego sadu, warzywa – ze swojego pola, pokarm dla zwierząt – kukurydza oraz ziemniaki z własnych upraw, upieczone uprzednio w parniku.

– Podziwiam tamtych ludzi... – szepnął zadumany Matt.

– Ja również – przyznałam i uśmiechnęłam się do Matta. Nasuwał się nam do głów taki sam wniosek: dobrze, że urodziliśmy się dopiero czternaście lat temu... Ale szacunek, który dzieci okazywały swoim rodzicom, skromność i posłuszeństwo naprawdę są godne podziwu. Czy ja potrafiłabym zawsze być taka posłuszna? Szanuję swoich rodziców, widzę, jak oni szanują swoich, staram

się grzecznie do nich zwracać, pomagać im i to się nie zmienia. Ale czy potrafiłabym być aż tak posłuszna?

Rozdział 4

„Lekcja historii”

– I co, Matt, wystarczy ci tyle wiadomości o wsi w dawnych czasach? – zapytałam.

– Myślę, że tak – odpowiedział.

– Uff – odetchnęłam z ulgą – Jak zamierzasz wykorzystać zdobytą wiedzę?

– Chciałbym, żebyśmy przepisali na komputerze efekty naszej pracy i zanieśli je pani od historii. Być może przydadzą się, jako materiały na lekcje. Byłoby wspaniale, gdyby nauczycielka zrobiła specjalną, jedyną w swoim rodzaju lekcję historii, którą to my byśmy poprowadzili, a pani usiadłaby w szkolnej ławce i nas słuchała, taka mała zamiana ról – zaproponował Matt.

– Świetny pomysł! – wykrzyknęłam – jutro złożymy tę propozycję naszej pani od historii.

Następnego dnia postanowiliśmy zrealizować nasze plany. Notatki były już przepisane, gotowe, by pokazać je nauczycielce. Pani obiecała, że je przeczyta. Bardzo spodobał jej się nasz pomysł z tą lekcją historii. Uznała go za bardzo ciekawy.

Następnego dnia nauczycielka podeszła do nas na przerwie. Oddała nam nasze kartki z ciekawostkami o wiejskich zwyczajach i powiedziała z uśmiechem, że już możemy przygotowywać się do pokazania naszego projektu całej klasie. Ucieszyliśmy się, że nasza praca zdobyła uznanie.

Tydzień później spotkaliśmy się po szkole u dziadków Matta, aby zrobić próbę naszego „występu”. Szło nam bardzo dobrze i pomyśleliśmy, że nasza prezentacja spodoba się nauczycielce i reszcie naszej klasy. Włożyliśmy kartki ze zdobytymi wiadomościami do segregatora. Było ich bardzo dużo. Ustaliliśmy, że już jutro wystąpimy

przed klasową publicznością. Mieliśmy nadzieję, że nie będzie to nudne, a wręcz przeciwnie – wszystkich bardzo zaciekawia.

Następnego dnia, przed lekcją historii, mieliśmy straszną tremę, ale pani powiedziała, że na pewno nam się uda i nie ma co się stresować.

Wszyscy weszli do klasy. Ja i Matt stanęliśmy na środku sali, pod tablicą. Zaczęliśmy opowiadać o dawnych zwyczajach. Nie sądziliśmy, że wywołamy takie wielkie poruszenie wśród klasowej młodzieży. Wszyscy nas słuchali. Gdy skończyliśmy, wszyscy byli nam brawo. Pani również. Byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. Szczególnie dlatego, że w dzienniku lekcyjnym, obok naszych imion, znalazły się oceny celujące.

Po lekcji wszyscy uczniowie podeszli do nas. Byli bardzo zdziwieni, że ja i Matt, tak dobrze się dogadujemy już na początku roku szkolnego i że razem robiliśmy projekt. Uśmiechnęliśmy się do siebie i odpowiedzieliśmy kolegom z klasy, że mamy podobne zainteresowania i bardzo się polubiliśmy. Gdy odeszli, złożyłam Mattowi propozycję:

- Matt, może zostaniemy przyjaciółmi?
- Tak, to jest doskonały pomysł, bardzo dobrze się dogadujemy i bardzo cię lubię – przyznał Matt.
- Ale takimi przyjaciółmi od serca, na radość i smutek, na zawsze – dodałam.
- Ja tylko taką przyjaźń uznaję, żadna inna dla mnie nie istnieje.
- A więc, witaj, mój drogi przyjacielu!
- Witaj, przyjaciółko.

Po tych słowach uśmiechnęliśmy się do siebie, po czym na chwilę przytuliliśmy się, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że właśnie byliśmy w szkole. Przecież przyjaźni nie można się wstydzić ani ukrywać. Jest delikatna, magiczna i głęboka. Nie zasługuje na ukrywanie.

Wrzesień był pięknym miesiącem. Zapamiętam go na bardzo długo. To właśnie wtedy nauczyłam się tyle o miejscowości, w której mieszkam i o Czulówku, czyli wsi, z której pochodzi mój tata.

Dzięki temu jeszcze bardziej polubiłam widok z mojego okna: łąkę, za nią pole orne, sad brzoskwinowy, a jeszcze dalej – jakiś stary sad. Kiedyś tego nie zauważałam. Ten widok po prostu był. Z czasem doceniłam jego prawdziwe piękno, gdy wiosną zakwitły drzewa brzoskwinowe, a teraz, jesienią, zmieniły swoją barwę na jesienne kolory. Miło jest odsłonić firankę i tak, po prostu, wpatrywać się w te drzewa, piękne z natury...

A z moim podwórkiem graniczy droga polna. Prowadzi ona do pola zwanego „Łysakiem”. Jeszcze nie wiem, dlaczego to pole przybrało akurat takową nazwę, ale prędko się dowiem, bo jestem ciekawa.

Ale nie tylko dlatego polubiłam ten miesiąc. Wtedy zdobyłam najlepszego przyjaciela. Takiego prawdziwego, na medal.

A to wszystko dzięki „wiejskim wartościom”, takim jak rzetelność, pracowitość, patriotyzm, duma z bycia chłopem i przywiązanie do dawnych obyczajów, o czym przekonałam się, rozmawiając z mieszkańcami Czułowa.

Dobrze żyć na wsi i o tej wsi opowiadać albo słuchać opowieści tych, którzy wieś kochają. Tak, jak ja i... Matt.

Moje korzenie

Wież kojarzyła się kiedyś ludziom mieszkającym w miastach z zaco-
faniem, brakiem kultury i ogłady. Z upływem lat wsie zaczęły
się rozwijać, zmieniać, a ich mieszkańcy dzięki globalizacji zaczęli
dorównywać poziomem i stylem życia ludziom z miast.

Dziś coraz więcej osób dostrzega pozytywne aspekty życia na
wsi. Świeże powietrze, różnorodność terenu, obcowanie z przyro-
dą to główne atuty. Oprócz tego dużym plusem jest mieszkanie
w wielopokoleniowych domach. Najczęściej mieszka się z dziad-
kami, a nawet pradziadkami, którzy mają wpływ na kształtowanie
naszego charakteru, zachowania. Wspomagają rodziców w pro-
cesie wychowania. Poświęcają wnukom dużo uwagi, pokazują
im świat, podkreślają jak ważna jest rodzina w życiu każdego
człowieka, wskazują właściwy kierunek działania. Oprócz tego
zapoznają młode pokolenia z tradycjami, które także stanowią
o naszej tożsamości.

W dzisiejszych czasach również na wsi jest kontakt z różnymi
nowinkami technicznymi, Internetem. Oczywiście istnieją też
pewne ograniczenia, np. w dostępie do muzeów, kin, teatrów.
Pod tym względem możliwości mieszkańców wsi w porównaniu
z mieszkańcami miast są mniejsze. Jednak coraz lepiej i łatwiej
można sobie z tym problemem poradzić, co stwarza lepsze per-
spektywy na przyszłość.

Dzięki życiu na wsi od najmłodszych lat widzę, co to jest ciężka
praca. W mojej świadomości na stałe zakorzeniają się wartości,
które wpajają mi najbliżsi. Czyni mnie to bardziej wrażliwą na
otaczający świat oraz problemy innych ludzi. Jednocześnie wartości

te, a także moja praca w gospodarstwie powodują, że staję się odpowiedzialna, wytrwała i silna. Mam nadzieję, że taka postawa ułatwi mi start w dorosłe życie i pozwoli przeżyć je jak najlepiej. Obym nie zapomniała nigdy, skąd jestem i co mnie ukształtowało.

ANGELIKA STAWSKA

Zespół Szkół im. Ludzi Morza w Mścicach Gimnazjum Samorządowe

Mój mały zakątek

*Bliski memu sercu świat
Zobaczysz, nie ruszając mapy kart
Wspomnienia wiatr rozwiewa w dali
Chcę byćcie mój zakątek poznali*

*Małe domy, lecz pełne miłości
Małe stawy, lecz pełne ryb
Małe ogrody, lecz pełne kwiatów
Taka właśnie jest moja wieś!*

Moja wieś jest mała, lecz bardzo przyjazna. Wszyscy jej mieszkańcy starają się, aby była atrakcyjna dla przyjezdnych. Dbają o swoje gospodarstwa, o ich wygląd. Jak wszędzie zdarzają się kłótnie, konflikty, ale próbujemy je szybko załagodzić, żeby nie zostały na dłużej żadne urazy.

Od dziecka jestem uczona pokory, skromności, uczciwości i przede wszystkim szacunku dla drugiego człowieka. Mój pradziadek był kombatantem i wpajał mi, odkąd pamiętam, żeby kochać swoją małą ojczyznę. Walczył w Armii Andersa o niepodległość Polski. Rodzice mojego pradziadka zginęli w okrutny sposób w czasie II wojny światowej, jednak on nigdy nie dał mi odczuć, jakie piętno odcisnęły na nim te wydarzenia. Doświadczenia wojenne oraz praca w gospodarstwie uczyniły z niego bardzo silnego, twardego i odpowiedzialnego człowieka. W jego niezłomności było wiele optymizmu i radości życia. Powtarzał, że ciężka, sumienna praca jest kluczem do sukcesu. Pamiętam, jak wieczorami siadał na kanapie z prababcią i snuli opowieści, przenosząc mnie do swojego świata, swoich wspomnień. Opowiadali przeróżne historie, zarówno te

straszne, smutne, jak i zabawne. Zapamiętałam ich jako dobrych, uczciwych, szanowanych oraz kochających ludzi.

Każdy z członków rodziny dał mi jakąś część siebie, przekazał wartości, którymi należy kierować się w życiu. Babcia zapoznała mnie z tajnikami swojej kuchni, powtarzając powiedzenie „przez żołądek do serca”. Dziadek nauczył mnie wędkowania. Mama wyjaśniła, na czym polega miłość i pokazywała, jak odnaleźć się w świecie uczuć, emocji. A tata zaraził mnie swoim poczuciem humoru.

Jednak ważnym elementem łączącym wszystko, o czym napisałam, jest miejsce, w którym dorastam. Myślę, że wychowując się na wsi, dużo zyskałam. Wszystkie najbliższe mi osoby związane są z moją rodzinną wsią. Mieszkanie w wielopokoleniowym domu to ogromne szczęście. Miejsce i ludzie ukształtowały mój charakter, podejście do życia. Dobrze, że jest taki zakątek na ziemi.

KAROLINA UJMA

Gimnazjum im. Armii Krajowej w Piasku

Moje „ja”

*Kiedy wstaję rano, widzę jak we mgle, słabości moje,
rzeczy, które mnie otaczają.*

*Szum samochodów, choć to przecież wieś, kształtuje
moją wyobraźnię.*

*Kocham rodzinę i to, co mam, choć nie doceniam cza-
sem spokojnego życia.*

*Otoczenie moje jest częścią natury, żywego stworzenia,
radości bycia.*

*Wszystko to, co mnie otacza, buduje poczucie mej
wartości.*

*Nigdy nie zapomnę, jak ważni są Rodzice, Przyjaciele,
Nauczyciele, dzięki którym poznaję ten świat takim,
jaki jest, był i będzie.*

Moje drugie życie

Do tamtych wakacji mieszkalam w wielkim domu, w północnej części Warszawy i każdy dzień przeżywałam tak samo.

Nigdy nie wyobrażałam sobie, że moje życie mogłoby wyglądać inaczej. Jednak ono z dnia na dzień zaczęło wywracać się do góry nogami.

Jeśli się nie mylę był to czwartek. Wracałam z opiekunką po ciężkim dniu ze szkoły (jeśli w oddziale przedszkolnym bywają „ciężkie dni”). Otwierając drzwi wejściowe do naszej willi, wiedziałam już, że coś jest nie w porządku. Co skłoniło mnie do takich rozmyślań? Na progu stały trzy brązowe walizki. Mieliśmy ich łącznie dziewięć. Trzy czarne (taty), trzy granatowe (mamy) i trzy brązowe (moje). Jeszcze znajdując się w sklepie uzgodniliśmy, że swoje rzeczy pakujemy w swoje torby. Weszłam do pokoju, gdzie na tapczanie siedziała mama. Płakała. Po policzku, jedna po drugiej, spływały jej łzy. Nie wiedziałam, jak się zachować. Spytać, co się dzieje, przytulić, zachowywać się jak gdyby nigdy nic? Wybrałam najprostszą opcję. Podałam mamie chusteczki i usiadłam obok niej. Nie indagowałam. Jeśli mama miałaby ochotę na lamentowanie, nie musiałabym jej do tego nakłaniać.

– Wakacje spędzisz na wsi. Już wszystko załatwiłam. – Nietrudno było się domyślić, że chodzi zarówno o zgodę od dyrektora, bym ostatni tydzień szkoły nie musiała uczęszczać na zajęcia, jak również poinformowanie babci, że po niecałych siedmiu latach, jakie upłynęły od urodzenia, ponownie ją odwiedzę. Przyzwyczaiałam się już do tak lapidarnych wypowiedzi ze strony mamy, wiedziałam również, że nie oczekuje ode mnie żadnych odpowiedzi.

Wyjechałam rankiem następnego dnia. Miałam więc sporo czasu, by wyedukować możliwe przyczynach podjęcia takiej decyzji. Oto czego się domyślałam: mama poważnie pokłóciła się z tatą, po czym ten spakował jedną ze swoich walizek i zatrzymał się u kolegi. Jego zrozpaczona żona (przypominając sobie jej stan, stwierdzenie „zrozpaczona” jest zbyt łagodne, bardziej odpowiednie byłoby: „w stanie agonii”, chociaż nawet to nie oddaje tego, co przeżyłam, patrząc po raz pierwszy na płacz matki) postanowiła w spokoju przemyśleć pewne sprawy, toteż wysłała córkę do babci, która mieszka w małej, liczącej zaledwie dwieście osób, wiosce, na drugim końcu Polski.

Podróż pociągami nie tylko trwała bardzo długo, ale była także bardzo męcząca. Może z powodu nadmiaru wolnego czasu, który zazwyczaj poświęcam na introspekcje bądź kontemplacje. Zastanawiałam się również nad zmianami, jakie miały nastąpić w trakcie tych dni. Nigdy nie mieszkalam na wsi, z dala od cywilizacji. Traktowałam to jako doświadczenie. Mimo naprawdę młodego wieku i trudnej sytuacji rodzinnej, byłam bardzo mądrą dziewczynką. Rozumiałam niemal wszystko i z doświadczenia wiedziałam, że bez Internetu czy telefonu nie będę miała żadnego kontaktu z rodzicami. To było z tego wszystkiego najtrudniejsze. Mając siedem lat (siedem lat!) widywałam ich tylko na ekranie monitora, zapewnających, że wrócą do końca tygodnia.

Wiedziałam, gdzie mieszka babcia i wiedziałam, jaka jest. Miałam pełen album jej zdjęć i stos listów, które zawsze czytała mi moja opiekunka. W każdym zapraszała mnie do siebie, ale mama bała się, że nie spodoba mi się wśród krów, świń, koni i innych zwierząt, otoczonych z każdej strony hektarami ziemi. Gdyby wiedziała, jak się myliła.

Wychodząc ze środka lokomocji mogłam po raz pierwszy osobiście zachwycić się aparycją starej krewnej. Nie żeby jej uroda zaparła mi dech w piersiach, ale niewątpliwie pozytywnie na mnie zadziałała. Wyglądała jak typowa wiejska kobieta. Niska, korpulentna, z krótko ostrzyżonymi włosami, w luźnej, niebieskiej sukience do kostek. Nie musiała nic mówić, bym ją pokochała. W tym

momencie potrzebowałam kogoś, kto mnie wesprze i powie, że nie jestem niczemu winna.

W Warszawie nauczyłam się pisać i czytać. Odznaczałam się dużą inteligencją i miałam wysokie osiągnięcia w konkursach i dyktandach z języka polskiego. Zważając na ilość godzin poświęconych na pisanie pamiętnika, nie powinno to nikogo dziwić. Pomysł ten zaproponowała mi pani Magda – moja wychowawczyni, gdy opowiedziałam jej o swoich problemach. Domyślała się, że szybko nauczę się przelewać uczucia na papier.

Dróżka była piaszczysta. Ziarenka piasku łaskotały mnie po stópkach, odzianych jedynie w cienkie rajstopki. Dookoła widziałam zielen przyozdobioną tysiącem różnokolorowych kwiatów.

Idąc z babcią, wiedziałam jedno. Chce to wszystko zapisać. Uwiecznić każdy krok.

Gdy dotarliśmy do chatki, kolacja w postaci kanapek z kielbasą domowej roboty i szklanki gorącego mleka już na mnie czekała. Zjadłam wszystko i położyłam się spać. Następnego dnia zaczęłam nowe życie.

Piątek, 15 czerwca

Dzisiaj jestem pierwszy dzień w Strachowie. Podoba mi się, nawet bardzo, mimo że ta nazwa mnie przeraża. Pomagałam babci w kuchni, a dziadkowi przy zwierzątkach. Krówka pozwoliła mi nawet zabrać sobie mleczko. Dziadzio powiedział, że ją wydoiłam, ale to określenie przeraża mnie jeszcze bardziej niż nazwa wsi. Jechałam też prawdziwym traktorem. Na przyczepce, na której było siano. To najwspanialszy dzień w moim życiu!

Mój pierwszy z „najwspanialszych dni”. Następne spędzone na wsi było równie wspaniałe. Niewątpliwie. Jednak to ten ucieszył mnie najbardziej. W końcu był pierwszy.

Zaraz po przebudzeniu powędrowałam do kuchni, gdzie zjadłam pyszne śniadanie.

– Pomożesz mi upiec ciasteczka? – pamiętam, że pytanie babci mnie zaskoczyło, głównie dlatego, że żyłam w przekonaniu, iż ciasteczka się kupuje, nie piecze. A skąd biorą się w sklepach? Nie pamiętam jak odpowiadałam sobie na to pytanie. – Musimy uczcić twój przyjazd.

– Nie umiem piec ciasteczek – moja odpowiedź szczerze babcię ucieszyła. Pocałowała mnie w czubek głowy i poprosiła, bym wyjmowała z szafek produkty przez nią wymieniane. Po chwili na blacie stała mąka, cukier, migdały, margaryna i inne. Gdy nasze dzieła już przyozdobione, kończyły się w piekarniku, z impetem rzuciłam się krewnej w ramiona. W kącikach moich oczu lśniły krople łez. To miejsce tak na mnie działało. Nie czułam się wyalienowana, mimo że pochodziłam z odległego o miliony lat świetlnych świata.

Po zmaganiach z krową (moje pierwsze dojenie było dość prymitywne) poszłam z dziadkiem na spacer.

– Chcesz usłyszeć legendę o powstaniu Strachowa?

– Oczywiście. Kocham słuchać takich historyjek.

– A więc słuchaj. Dawno temu właścicielkami tych terenów były dwie siostry. Różniły się od siebie diametralnie. Pierwsza – Dobrawa była spokojna, akuratna, lubiła słuchać śpiewu ptaków, zajmowała się dzikimi lokatorami lasów i dbała o porządek w całej miejscowości. Druga natomiast była wybuchowa, frywolna i wulgarna. Jej celem było zniweczenie planów siostry. Mieszkańcy robili co w ich mocy, by obalić rządy złej kobiety, jednak im samym niewiele udało się zdziałać. Na pomoc ruszył czarodziej zwany, z powodu swego przeraźliwego wyglądu, Strachem. Dzięki swym mocom, wygnanie jej, nie było dla niego problemem. Po zwycięskiej walce dostał w nagrodę rękę pięknej Dobrawy. Jak w opowieściach zazwyczaj bywa, wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Pewnie zauważyłaś już, że to od imienia wybawcy nasza miejscowość nazywa się Strachowo.

Zauważyłam i ogromny kamień spadł mi z serca, ale nie odezwałam się ani słowem. Nawet gdybym chciała, raczej bym nie zdążyła, gdyż w tym momencie moim oczom ukazał się nowiutki Ursus sąsiadów, ciągnący za sobą przyczepę pełną suchej trawy. Dziadek mamrotał coś o sianokosach, ale nie wsłuchiwałam się

w jego wypowiedź. Po krótkiej konwersacji dwóch panów zostałam posadzona na zawartości pojazdu i podziwiając piękno okolicy, wyruszyłam w drogę powrotną do domu. Kobiety dbające o czystość swoich ogródków, mężczyźni pracujący w polu, zwierzęta pasące się na łące, dzieci w samych majteczkach bawiące się ze swymi czworonożnymi przyjaciółmi. Te widoki towarzyszyły mi przez kilometry drogi. W tym czasie mogłam wiele przemyśleć. Siedem lat. Tyle straciłam. Siedziałam w domu, oglądając telewizję lub korzystając z komputera.

Przez jeden dzień zaznałam więcej radości z życia niż przez tych siedem lat.

Niedziela, 17 czerwca

Wiedziałam, że zostałam ochrzczona i należę do Kościoła katolickiego. Lecz od chrztu nie byłam w kościele ani razu (chyba, że jako mały dzidzius, czego nie pamiętam). Dzisiaj natomiast musiałam wstać przed świtem, żeby zdążyć na mszę w tutejszej kapliczce. Msza jest odprawiana tylko raz, o godzinie 8:00. Spotkałam tam chyba wszystkich ludzi ze wsi i wszystkich pobliskich wiosek. Babcia przedstawiła mnie całemu tłumowi i przyjęłam mnóstwo zaproszeń na tak zwaną „uczte powitalną”, jak to nazwała jedna z koleżanek babci. Potem rozmawiałam z księdzem. Był bardzo miły. Opowiadał jakieś historyjki. Dotyczyły dzieci, które musiały mieszkać u nieznanych sobie osób, bo miały problemy. Chciał chyba nawiązać do mojej sytuacji, ale nie wiem, bo, mimo że naprawdę był bardzo miły, to nie potrafił opowiadać historyjek. Szkoda. Polubiłam go. Jak już wróciliśmy, to babcia zrobiła pyszny obiad i rozstawiła duży stół, bo przyjechał jeszcze wujek Marek. To brat mojej mamy. Rzadko go widuję, chociaż często dzwonił do Warszawy. Było bardzo przyjemnie. Obiad rodzinny. Wielka sprawa.

Kładąc się spać, czułam, że nie mogę tak po prostu zakończyć tego dnia. Czułam, że brakuje mi czegoś, co go zapieczętuje.

– Babciu, nauczysz mnie jakiejs modlitwy? – oszołomiona staruszka wpatrywała się we mnie, jakby nie dowierzała wypowiedzianym słowom.

– Oczywiście, skarbie. Ale musisz coś wiedzieć.

– Co takiego?

– Musisz znać cel modlitwy i musisz wiedzieć, co to jest modlitwa.

– To znaczy?

– Modlitwa to rozmowa z Panem Bogiem i ma nas do Niego przybliżyć. Nieważne, jaką modlitwę odmawiasz. Ważne jest to, byś mówiła, co czujesz i to, by twoje słowa były szczere. Jest późno, więc zastosuj się do moich słów i porozmawiaj z Bogiem.

Gdy babcia wyszła, odmówiłam swoją pierwszą, własną modlitwę.

Mijały miesiące, a wiara jaką zyskałam już po pierwszej prawdziwej niedzieli, nie wygasła. Wielokrotnie wykorzystywałam ten temat w prowadzonym przeze mnie pamiętniku. Przeglądając te notatki, wracam myślami do listu, który wysłałam ojcu, jakiś czas po jego rozwodzie z mamą. Nie mam go przy sobie, ale postaram się odtworzyć jego treść.

Strachowo, 20.05.2003

Kochany tatku!

Przepraszam, że tak długo nie pisałam, ale w gospodarstwie jest dużo pracy, a wieczorami czytam bardzo interesującą książkę. Polecił mi ją dziadzio.

Jest o chłopcu, który mieszka w szpitalu, bo jest chory. Nie chciałabym być tak chora. To musi być straszne. A może Ty ją już czytałeś? Tytuł brzmi „Oskar i pani Róża”. Ta pani Róża mu powiedziała, żeby pisał listy do Boga. I on je pisze. Też kiedyś napiszę list do Boga.

Tu jest taki mały kościółek. I tam z babcią, mamą i dziadziem chodzę co niedzielę na mszę i się modlę do Boga o zdrowie i szczęście dla Ciebie i reszty rodziny.

Wiedziałaś, że jest coś takiego jak majowe? Śpiewa się wte-

dy pieśni Maryjne przy figurkach. Nam się poszczęściło, bo najbliższa jest niecałe sto metrów od naszego domku. Zawsze są wszystkie koleżanki babci, które pożerają mnie wzrokiem. Nic dziwnego, gdyż w moim wieku nie ma tu innych dzieci. Chodzę tam codziennie i naprawdę bardzo mi się podoba. Szczególnie, kiedy wykonujemy „Chwalcie łąki umajone”. Nauczyłam się już słów na pamięć.

Cieszę się, że tu jestem. Powinieneś przyjechać na wieś, to upewnisz się, że jest mi tu dobrze. Tylko postaraj się do końca miesiąc, to pójdziesz ze mną na majowe.

Kocham Cię.

Karolina

Zależało mi na tym, by w tych wspomnieniach, zawrzeć jak najwięcej informacji dotyczących mojej przemiany.

Wieś jest miejscem, gdzie mogę żyć spokojnie i szczęśliwie, z dala od skomplikowanych problemów otaczającego nas świata. Uwielbiam ukryte, malownicze zakątki, odgłosy traktorów, rozległe pola. Codzienne czynności, takie jak karmienie zwierząt czy dbanie o porządek wokół nich, uczą mnie szczególnie odpowiedzialności. Jestem szczęśliwa na łonie natury, daleka od trosk czy kłopotów. To, czym kieruję się w młodości, jest odzwierciedleniem mojego późniejszego życia. Wiara, rodzina, miłość, przyjaźń, patriotyzm, szacunek do siebie i innych, uczciwość. Po dziesięciu latach spędzonych w tym miejscu wiem, jak ważne jest odpowiednie środowisko. Środowisko, które kształtuje naszą osobowość.

PAULINA ŻÓŁTAŃSKA

Publiczne Gimnazjum im. Orła Białego w Sochocinie

*Tu, gdzie serce moje pozostało w rubinie zachodu,
stawiającego subtelne kroki po horyzoncie,
gdzie czar dorastania,
pozostawiłam w smukłości bladych promieni,
a obraz duszy, tak jasno, odbił się w tafli zwierciadła.*

*W miejscu, gdzie ścieżka wiary
cieszy się jeszcze dotykiem mej dłoni,
a miejsce ofiary czeka na wyrzeczenie,
tchnieniem zmysłu.*

*W zakątku nadziei,
gdzie ufność tak często nadawała barw nienawiści,
i w każdej chwili rozgrywało się tak wiele pojedyn-
ków mojej istoty.*

*Chcąc wrócić tam – skąd przychodzę,
stawiam kolejne ślady,
rysując patykiem wiary mapę życia...
A Ty mnie prowadź!
Ukierunkuj każdy krok, by ścieżka bezwstydu była mi
przeciwna,
ukryj w obłoku nieba miłosierdzia,
chronź od dotyku ciernia nienawiści.*

*Zawierając Ci moje życie,
błękitem krwawienia duszy,
okrywam wrzące serce – Twoim,
z nadzieją na wschód, z cieniem Twojej dłoni.*

Moje kochane wiejskie wartości

Piękne naturalne krajobrazy, świeże powietrze, miła atmosfera i kompot mojej Babci – to mój mały świat, moja wieś.

Od dziecka większość czasu spędzałam na wsi, u dziadków. Moim wielkim marzeniem, które się spełniło, była przeprowadzka do tego pięknego miejsca. Od czterech lat mieszkam w rodzinnej miejscowości mojego taty.

Możliwość tak częstego przebywania na wsi przed przeprowadzką bardzo wpłynęła na moje poglądy, pokazała wartości, którymi teraz staram się kierować w życiu.

Wieś każdego dnia uczy mnie coraz to nowych rzeczy, wciąż mnie bardzo pozytywnie zaskakuje. Najważniejszą wartością jest rodzina, to ona daje wsparcie i siłę. Tutaj, na wsi, nie liczy się kariera, pieniądze. Każdy ma czas dla swoich bliskich niezależnie od pory dnia. Wieś daje mi poczucie bezpieczeństwa. Spokojnie mogę dojechać do szkoły, ponieważ na ulicach panuje dużo mniejszy ruch niż w mieście. Jest mniejsze zagrożenie alkoholizmem, uzależnieniem się od narkotyków lub innych używek przez młodzież.

Mój mały świat rozwija wyobraźnię. Wzrokiem sięgam dalej, niż w monitor komputera czy ekran telewizora. Wraz z moim rodzeństwem i przyjaciółmi świetnie się bawimy, uprawiamy różne dyscypliny sportowe. Mamy wiele pomysłów na spędzanie wolnego czasu na łonie natury. Każdy z nas może tutaj rozwijać swoje zainteresowania.

Mieszkając na wsi nauczyłam się pomagania innym. Zarówno rodzice, jak i dziadkowie wpajali mi, że pomoc jest ważnym

elementem naszego życia. „Pomóż, a zwróci ci się dwukrotnie” – staram się pamiętać to zdanie i wcielać je w życie.

Na wsi nigdy nie brakuje zajęć, praca w ogródku zrywanie jabłek w sadzie czy jesienne kopanie ziemniaków. Zawsze trzeba w czymś pomóc, a rąk do pracy nigdy nie za dużo. Uważam, że osoby mieszkające w mieście nie są odporne na tak duży wysiłek, tracą też przyjemność, którą ja czerpię z pracy.

Na wsi wszyscy mieszkańcy się znają, służą sobie pomocą, serdecznym uśmiechem i chwilą rozmowy w miejscowym sklepie. Otwarta brama mojego podwórka wszystkich serdecznie zaprasza. Każdy może bez specjalnego zaproszenia mnie odwiedzić. Gościnność to też jedna z wartości, którą doskonałą i która z pewnością przyda mi się w dorosłym życiu. Kultura, serdeczność i otwartość to cechy, które każdy z nas powinien posiadać.

Dla każdego dziecka mieszkającego na wsi ważną wartością jest również nauka. Ktoś mógłby rzec, że wieś zamyka wszystkie drzwi do większego, zdaniem niektórych, lepszego świata. Jednak nieprawdą jest to, że osoby z małych miejscowości mają mniejszą wiedzę. Wieś coraz bardziej rozwija się i jeżeli młody człowiek wyznaczy sobie takie, a nie inne cele w życiu, na pewno je zrealizuje. Wystarczy odrobina chęci i samodyscypliny. Mieszkając na wsi nauczyłam się odpowiednio gospodarować swoim czasem. Wiem, że ważne jest zdobycie dobrego wykształcenia, aby mieć łatwiejszą przyszłość. Gdy czuję, że mam już wystarczającą wiedzę, mogę sobie pozwolić na rozrywkę.

Wieś jest pełna tradycji, które przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Rodzinne śpiewanie kolęd, pójście na Pasterkę czy też na Rezurekcję, a później „grę w jajka”, w którą także grali moi rodzice i wujkowie. Jestem przekonana o tym, że ta gra stanie się ulubioną zabawą moich dzieci, wnuków i prawnuków.

Wychowuję się w takiej rzeczywistości, jaką stwarza wieś. Codziennie dbam o to, aby wiejskie wartości nie zanikały, ale zostawały przekazywane kolejnym pokoleniom.

JULITA KLUCZYK

Zespół Szkół w Turośni Kościelnej

Gimnazjum im. ks. Michała Sopočki w Turośni Kościelnej

Wieś moją przystanią

Wieś – sielanka spokoju, azyl ciszy, błogość natury... Właśnie tak wygląda życie z dala od ciągłej wrzawy i zgiełku. W takim miejscu można spokojnie odpocząć, oderwać się od nieustających zmartwień otaczającego nas świata. Wokół lasy porośnięte srebrzystymi brzozaami, kwieciste łąki oraz pola pokryte złocistymi kłosami unoszącymi się na wietrze niczym fale morskie. Prawdziwy raj dla duszy.

Na wsi mieszkam od urodzenia. Nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej. W pobliskich miejscowościach mam dużo koleżanek, z którymi miło spędzam czas. Życie w mieście jest pozbawione wielu przyjemności, które oferuje nam wieś. Z pewnością każdy mieszkaniec małej miejscowości ceni sobie czyste powietrze, spokój oraz bliskość przyrody. Niejednokrotnie słyszy się opinie o polskich wsiach, które według powszechnych stereotypów są gorsze od miast. Moim zdaniem twierdzenia te są oparte wyłącznie na błędnych wyobrażeniach, nie mają one zaś nic wspólnego z rzeczywistością. Możliwość ciągłego kontaktu z przyrodą czy świeże powietrze sprawiają, że wszelkie wady, jeżeli w ogóle takie istnieją, są niedostrzegalne. Dla człowieka powinno liczyć się to, co go w życiu spotka dobrego, a dobrem tym jest właśnie nasza polska wieś. Józef Czechowicz tak o niej pisał:

„Siano pachnie snem

Siano pachniało w dawnych snach

popołudnia wiejskie grzeją żytem

słońce dzwoni w rzekę z rozbłyśkanych blach

życie – pola – złotolite

*Wieczorem przez niebo pomost
wieczór i nieszpór
mleczno krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu*

*Nocami spod krzyżów na rozdrożach
sypie się gwiazd błękitne próchno
chmurki siedzą przed progiem w murawie
to kule białego puchu
dmuchawiec*

*Księżyc idzie srebrne chusty prac
świerszczyki świergocą w stogach
czegoż się bać*

*Przecież siano pachnie snem
a ukryta w nim melodia kantyczki
tuli do mnie dziecięce policzki
chroni przed złem”*

Wspaniale jest budzić się latem w blasku promieni słońca. Cudownie jest także spacerować letnim porankiem po trawie pokrytej drobnymi kropelkami rosy, zrywać kwiaty i robić z nich bukiety. Latem czuć również piękny zapach świeżo skoszonego zboża, z którego piecze się chleb. Wiosną, kiedy przyroda budzi się do życia, a dni stają się oraz dłuższe, można obserwować jak drzewa wypuszczają pierwsze zielone listki. Jest to naprawdę niezwykle i godny uwagi widok. Jesień daje nam możliwość zbierania grzybów i długich spacerów.

W mieście wszystkie dni są szare i nudne, panuje w nich nieustanna monotonia. Często osoba mieszkająca w sąsiednim domu czy klatce jest nam zupełnie obca i nigdy nie zamieniliśmy z nią słowa. Na wsi każdy zna siebie wzajemnie i stara się pomóc drugiej osobie w potrzebie. Dzięki temu nikt nie zostaje sam ze swoimi problemami, a między ludźmi zawiązują się silne więzi społeczne.

Osoby mieszkające na wsi posiadają własne pola lub ogrody, w których uprawiają warzywa i owoce, nie stosują nawozów sztucznych. Dzięki temu zbiory są smaczniejsze i zdrowsze. Dotyczy to również gospodarstw, w których hoduje się trzodę chlewną i bydło.

Ludzie, którzy mieszkają w mieście, mają tam pracę i rodziny, chętnie odwiedzają tereny wiejskie. Preferują wówczas aktywny wypoczynek na łonie natury, w otoczeniu zieleni i świeżego powietrza. Jest to połączenie, które sprawia, że człowiek nie chce wracać do swoich codziennych zajęć.

Dzięki temu, że mieszkam na wsi, czuję się w pełni szczęśliwa. Nie zamieniłabym życia tutaj na nic innego, ponieważ uważam, że jest to miejsce, do którego zawsze będę chętnie wracała, bez względu na moje dalsze plany życiowe. Wieś stała się moją przystanią i właśnie za to ją kocham.

Rodzina wielopokoleniowa wielką wartością

Od urodzenia mieszkam na wsi, z tej miejscowości pochodzą moi rodzice, również tutaj urodziła się i żyła moja babcia. Zostałam wychowana zgodnie z wartościami i tradycjami od lat panującymi w mojej rodzinie. Chciałabym pokazać wszystkie zalety mieszkania na wsi, ale muszę też trochę wspomnieć o niedogodnościach z tym związanych.

W mojej miejscowości mieszka stosunkowo mała liczba mieszkańców. Wszyscy dobrze się znają, są dla siebie bardziej otwarci i życzliwi, z każdym można porozmawiać. Tylko trudno jest o chwilę prywatności, gdyż tutaj każdego interesuje życie drugiego człowieka. Moje domostwo otaczają lasy i pola, więc mam ciągły kontakt z przyrodą, mogę dokładnie przyglądać się zmianom pór roku, co bardzo lubię robić. Otaczająca nas natura pomaga nam w wytwarzaniu ekologicznej żywności. Wielu moich sąsiadów produkuje na swoje potrzeby sery i masło, niektórzy pieką chleb. Mamy swoje warzywa, owoce i mleko. Popularnością cieszą się tutejsze konfitury i kompoty.

Na wsi, zwłaszcza starsi ludzie, bardzo dużą wagę przywiązują do Kościoła i modlitwy. Bardzo często to dziadkowie uczą swe wnuczki odmawiać pierwszy pacierz. Moja babcia też mnie nauczyła, a także przekazywała mi wiele praktycznych porad. Zdradziła mi sekrety gotowania pysznych tradycyjnych dań. Inni dziadkowie także przekazują swoim wnuczkom, jak wykorzystać w życiu zdobytą wiedzę. Opowiadają historie dotyczące dawnego wyglądu wsi i pracy na roli. Przekazują dawne zwyczaje i obrzędy. Najprawdopodobniej

robią to z myślą o tym, abyśmy mogli rozsądnie spojrzeć na zmiany zachodzące w naszym otoczeniu.

Wartości wiejskie przekazywane przez rodziców i dziadków pozwalają mi zauważyć tradycje i obyczaje panujące w mojej wsi. Wydaje mi się, że każda osoba wychowana na wsi potrafi je odpowiednio docenić. Szkoda tylko, że na przestrzeni wieków znaczenie słowa „wieś” w Polsce bardzo się zmieniło. Mieszkańcy polskich wsi obecnie coraz bardziej upodabniają się do mieszkańców miast. W niektórych domostwach zupełnie zaczynają zanikać tradycja i lokalny folklor. Jest to zjawisko bardzo niepokojące, bo za kilkanaście lat młodzi ludzie będą w stanie sobie tylko wyobrazić, jak wyglądała prawdziwa polska wieś, słuchając opowiadań swoich dziadków lub czytając podręczniki do historii.

Bardzo cieszę się, że mieszkam na wsi i nie zamieniałabym tego miejsca na żadne inne.

Czy ze wsi to znaczy, że gorsi?

Tak, mieszkam na wsi od urodzenia. Nie wypieram się tego, bo to tak, jakbym wyparła się samej siebie. Zresztą, niby dlaczego miałbym ukrywać swoje pochodzenie? Czy to czyni mnie gorszą? Gdy ktoś mnie pyta, skąd pochodzę, śmiało odpowiadam: „Ze wsi, proszę pana.”

Właśnie ten fakt ukształtował moją osobowość i wpłynął na to, jaka jestem. Generalnie nie powinno dzielić się ludzi na tych ze wsi i na całą resztę, jednak to, w jakim środowisku się dorasta, z jakimi ludźmi przebywa, ma kolosalne znaczenie dla rozwoju człowieka, zwłaszcza młodego.

Mieszkać wokół lasów, pól, łąk, obcować na co dzień ze zwierzętami – oto szczyt szczęścia! Tutaj normalne jest pomaganie osobom starszym, przyjazne stosunki z sąsiadami, a chodzenie w „obciachowych” kaloszach i różowym płaszczu nie wzbudza sensacji. Poza tym wieś uczy także pokory, skromności i pracowitości. O wartości człowieka w środowisku wiejskim nie świadczy nowy model sportowego samochodu, ale uczciwość i zaradność. Szanuję takie osoby, które ciężką pracą, a nie podejrzanymi kombinacjami, osiągnęły w życiu wiele. Sama też uchodzę za osobę pracowitą, która cieszy się z małych rzeczy i ma dystans do samej siebie.

To nie wszystko, co zaoferowała mi wieś. Patrzę na przyrodę z wielką wrażliwością i podziwem. Zresztą, jak tego piękna nie docenić?

Daleka jestem od przypisywania miastu wszystkiego, co najgorsze. Tam po prostu żyje się inaczej i obowiązują inne reguły życia. Martwi mnie jednak inna rzecz – ostatnio bardzo często

w przestrzeni publicznej pojawiają się określenia „wieśniacki” albo „wiocha” jako coś prymitywnego, mało wyrafinowanego, prostackiego. Dlaczego? Nie godzę się na takie uproszczenia. To stereotypy. Śmieszne i krzywdzące. Wieśniacy to nie są grubianie, brudni i zawsze mówiący gwarą. Skoro wieś to siedlisko prostactwa, to czemu tyle osób wybiera mieszkanie właśnie z dala od miast? Ci, którzy tak niepochlebnie wypowiadają się o mieszkańcach wsi, sami sobie zaprzeczają. „Robić wiochę” – co to właściwie znaczy? Że ktoś zachowuje się w sposób nieprzyzwoity, nieelegancki, nietaktowny? Przepraszam, ale ludzka głupota i brak kultury nie znają pochodzenia. Równie dobrze celebryta może być troglodytą.

Pisałam wcześniej o tym, co przekazała mi wieś. A co ja mogę zaoferować wsi? Najłatwiej byłoby wyemigrować, zostawić prowincję, uciec tam, gdzie można więcej zarobić i żyć zgodnie z wysokimi standardami. Nie mam takich planów. Póki co mam kilka wariantów na przyszłość, czy uda mi się je zrealizować, czas pokaże. Jeżeli zostanę siatkarką bądź futbolistką, osiągając zaszczyty, na pewno nie zapomnę o rodzinnych stronach, o mojej małej ojczyźnie. Chciałabym do niej wracać po każdym sukcesie (albo porażce), zaszyć się tam i regenerować siły. Inny plan to wykonywanie zawodu weterynarza – otaczanie opieką chorych zwierząt i pocieszanie ich właścicieli, byłabym niczym tytułowa „Blondynka” z telewizyjnego serialu, która nierzadko pracowała społecznie. A może będę prowadziła salon z wieloma usługami? Mieszkańcy mojej wsi nie będą musieli jeździć po nie do miasta. Zapewniłabym im dobrej jakości usługi, świeże towary, duży wybór i atrakcyjne ceny.

Dobrze, że mieszkam na wsi, sporo jej zawdzięczam. Życie tutaj jest przyjemnością, choć każdy ma prawo do własnego zdania. Nie chciałabym jednak, żeby moja wieś zamieniała się w wielkie osiedle, a właśnie coraz częściej wioski upodabniają się do metropolii. Niestety, przejmują także wielkomiejskie nawyki i zupełnie inny styl bycia. Wolę, żeby zostało tak, jak w „Pieśni świętojańskiej o Sobótce” Jana Kochanowskiego – *„Wsi spokojna, wsi wesola”*.

Wiesć moim światem wartości

Jestem mieszkanką Tworzymirek, miejscowości leżącej w gminie Milicz. Mieszkam tu z moimi rodzicami, trzema braćmi i babcią. W moim domu zachowuje się różne piękne tradycje. Zawsze razem, w siódemkę, siadamy przy stole do niedzielnego obiadu, a jak jest taka możliwość, to i do codziennego posiłku, przed którym odmawiamy krótką modlitwę lub czynimy znak krzyża.

Ludzie w mojej miejscowości są bardzo pobożni i co roku zawsze gromadzą się rodzinami na majówki przy krzyżu, obok mojego domu, które rozpoczynają się o siódmej wieczorem. Każdą majówkę zaczynamy od litanii do Najświętszej Marii Panny, potem śpiewamy różne pieśni maryjne, kończąc nabożeństwo pieśnią „Zapada zmrok”.

Często jeżdżę rowerem z moim wujkiem do dziadków, którzy mieszkają 15km od Tworzymirek. Bardzo lubię tam jeździć nie tylko ze względu na moich dziadków, których kocham, ale również ze względu na śliczną kotkę, którą nazwałam Różia. Od najmłodszych lat u dziadków spędzam część wakacji. Razem z dziadkiem plewimy ogródek warzywny. Tu nauczyłam się wrażliwości i pracowitości oraz szacunku dla drugiej osoby i jej pracy. Zaczęłam szanować pracę, widząc, jak wielki trud wkładają w nią moi rodzice i dziadkowie oraz jak wiele trudu trzeba, aby napawać się widokiem rosnących roślin. Wiem coś o tym, bo sama również dbam i pielęgnuję kwiaty. Moją pasją są ogrody z kwiatami. Blisko domu mam taki niewielki ogródek z tulipanami, fiołkami i piwoniami. Wiosną sięją różne kwiatki, które następnie flancują, aby w moim ogródku przez cały czas były kwitnące kwiaty, których widok mnie uspakaja i sprawia,

iż staje się szczęśliwa. W centrum tego ogródka rośnie brzoskwinia, która obfituje dużymi, soczystymi owocami, a w niedalekim jej sąsiedztwie rosną krzaki czarnej porzeczki. Owoce, które urosną w ogródku, wspólnie z mamą przetwarzamy, aby zimą móc kosztować ich smak.

Obcowanie z przyrodą jest tu czymś naturalnym, gdyż mamy ją na wyciągnięcie ręki. Zanim poszłam do przedszkola, rodzice nauczyli mnie rozpoznawać gatunki zbóż, roślin i zwierząt. Bociana pierwszy raz widziałam nie na obrazku, ale na żywo, jak przyleciał do swojego gniazda, które uwił sobie na słupie, stojącym na naszym podwórku.

W wolnych chwilach lubię położyć się na kwiecistej łące, pomyśleć i poobserwować ptaki, owady oraz przesuwające się po niebie obłoki.

W niedzielne popołudnia moi rodzice wspólnie z nami często organizują pikniki. Bierzymy koce, koszyki z różnymi przysmakami i rozkładamy je na łące. Słuchamy śpiewu ptaków i rozpoznajemy je, a rodzice oceniają, czy trafnie; organizujemy konkursy na najładniejsze wianki upieczone przez dzieci z polnych kwiatków. Są to najwspanialsze chwile. Bardzo lubię takie popołudnia.

Wioska, w której żyję, to moja druga rodzina. Identyfikuję się z nią i wszystkimi żyjącymi w niej mieszkańcami. Jeśli coś się w niej dzieje, to znaczna część mieszkańców jest zaangażowana w przygotowania. Organizujemy ogniska wioskowe lub grilla, festyny rodzinne z okazji Dnia Dziecka, Dnia Matki oraz Dnia Ojca. Ludzie chętnie włączają się w przygotowania, są chętni do niesienia pomocy potrzebującym. Gdy dwa lata temu, w nocy, zapalił się dom sąsiadów, jak tylko to zauważyliśmy, wszyscy udaliśmy się ratować ich i ich dobytek. Długo będę pamiętać ten widok ludzi gaszących pożar, jak kto potrafi i czym się dało, zanim przyjechała straż pożarna. Nie myślałam, że w takiej sytuacji ludzie potrafią nawet narażać własne życie, aby pomóc innym. Takie postawy bardzo sobie cenię, byłam pełna podziwu dla nas wszystkich. Pomoc dla poszkodowanej rodziny ze strony mieszkańców wcale nie zakończyła się z chwilą ugaszenia pożaru. Każdy chciał pomóc i dzielił się

tym, co miał: żywnością, odzieniem, pościelą, ręcznikami, pieniędzmi, nic w zamian nie oczekując i nie chwając się tym, że pomógł.

W mojej miejscowości przeżyłam najpiękniejsze chwile mojego życia: Pierwszą Komunię świętą, narodziny młodszego braciszka Dominika, pierwsze sukcesy w szkole, publiczne występy w szkole i w kościele, gdyż jestem lektorką i co niedzielę czytam w czasie Mszy św. fragmenty Pisma Świętego.

Cieszę się, że mieszkam w tak cudownej wsi.

Wieś – cały mój świat

Miejsce, w którym mieszkam od urodzenia, to malownicza wieś w województwie dolnośląskim. Nie wyobrażam sobie, abym mogła żyć gdzie indziej.

Obecnie jest tu wiosna. Wystarczy się obejrzeć, a z dnia na dzień świat wokół staje się coraz piękniejszy.

W dzieciństwie każde ciepłe popołudnie spędzałam razem z moimi przyjaciółmi na boisku, grając w piłkę. Codziennie wracaliśmy późnym wieczorem, zmęczeni wspólną zabawą. Często z rodzicami wychodziłam na spacer do pobliskiego lasu. W ten sposób poznałam różne rodzaje drzew i ptaków. To rodzice mi je pokazali. Mieszkam w domku jednorodzinnym wspólnie z rodzicami i bratem. Znajduję się on w centrum wsi. Mam ogromne podwórkę, na którym uwielbiam przesiadywać. Znajduje się na nim mały stawik i oczko wodne. W niedzielne popołudnia razem z rodziną przesiadujemy tam i rozmawiamy. Dookoła nas jest dużo stawów, gdyż mieszkamy w Dolinie Baryczy. Mogę z bliska zobaczyć przeróżne wodne zwierzęta i ptactwo, a nie oglądając je tylko w książkach czy telewizji. Moja wieś otoczona jest polami i pięknymi zielonymi łąkami, z których w dzieciństwie razem z koleżankami zbierałyśmy kwiaty, aby zrobić z nich bukiety, które później zdobiły kuchenny stół.

Na wsi dorastamy otoczeni czystym powietrzem. Z końcem czerwca wspólnie, z moją mamą i babcią chodzimy na jagody, z których potem robimy pyszne pierogi. Zajada się nimi cała rodzina. Dzięki temu, że dużo czasu spędzam z mamą i babcią, potrafię już

wiele potraw sporządzić sama. To właśnie mama i babcia odkryły we mnie zdolności kulinarne, jakie posiadam.

Wykorzystując walory przyrodnicze położenia naszej wioski, można bardzo dobrze dbać o zdrowie, uprawiając różne sporty, m.in. bieganie, jazdę na rowerze czy jazdę konną, gdyż są tutaj specjalnie wytyczone szlaki konne i ścieżki rowerowe. W ciepłe popołudnia wspólnie z koleżankami uwielbiamy jeździć na rowerach lub na rolkach.

To tutaj nauczyłam się szacunku do pracy, ludzi starszych i wrażliwości na otaczającą nas przyrodę. Większość ludzi mieszkających na wsi wzajemnie się odwiedzają i sobie pomagają przy różnych pracach. To dzięki nim staram się być bezinteresowna. W naszej małej wiosce nie zaginęła jeszcze tradycja spotkań przy krzyżu, gdzie odbywają się „Majówki”. Nie ma u nas żadnego sklepu. Niektórzy uważają to za wadę, ale większości z nas to nie przeszkadza, bo gdy czegoś zabraknie w naszych domach, to wystarczy zapukać do sąsiada i bez problemu dostaniemy to, czego potrzebujemy.

W mojej miejscowości często organizowane są różnego rodzaju zabawy, dzięki którym dzieci i starsi wspólnie spędzają czas. Najbardziej popularną jest święto naszej wsi zwane „Jankowianki”. Nie mniej ważne są święta naszych rodziców i dziadków. Wspólnie pomagamy w przygotowaniach, aby wszystko wyszło jak należy. Kilka razy w roku organizowane są także zabawy taneczne dla starszych jak i dla młodszych mieszkańców wsi. W czasie wakacji odbywają się warsztaty dla dzieci, m.in. nauka jazdy konnej. Młodzież w mojej wsi jest bardzo przyjazna. Wieczorami wszystkich można spotkać na boisku grających w piłkę siatkową. Często organizujemy ogniska, na które zapraszamy znajomych z sąsiednich miejscowości. Tu się nie nudzimy, bo wiemy, jak wykorzystać wolny czas.

Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała zamienić tej małej miejscowości na inne miejsce, a nawet jeśli zajdzie taka potrzeba, to na pewno tutaj wrócę.

Mój wiejski, cudowny świat

Na wsi od początku mojego życia mieszkam i wychowuję się. Wiejskie krajobrazy otaczają mnie z każdej strony. Codziennie, gdy wstaję, to patrzę przez okno. Każda pora roku ma swój urok. W zimie widzę zaśniewione drzewa i łąki, wtedy ubieram się ciepło i biegnę z bratem lepić bałwana lub igloo. Bardzo lubię tę porę roku, nie tylko ze względu na piękne widoki, jakie mogę podziwiać, ale przede wszystkim ze względu na to, że tata organizuje nam atrakcyjne spędzanie czasu wolnego. Tą atrakcją są kuligi po leśnych drogach. Po takim zimnym i wyczerpującym dniu miło jest napić się w rodzinnym gronie ciepłej herbaty lub gorącej czekolady, przygotowanej przez mamę. Przed moim domem stoją dwa karmniki. Po powrocie ze szkoły chętnie dokarmiam ptaki. Lubię także porzucać się śnieżkami z rodzeństwem.

Rodzice nauczyli mnie, że prace domowe wykonujemy wspólnie i wtedy razem możemy odpoczywać. Codziennie odśnieżam podwórkę z tatą, ale także chodzę odśnieżyć podwórkę moim sąsiadom, którzy mieszkają sami i nie mają tyle siły, aby wykonać tę pracę samodzielnie. O tej porze roku to jest mój obowiązek, który sama sobie nałożyłam. Natomiast lato uwielbiam za to, że są wtedy zielone drzewa oraz łąki porośnięte różnokolorowymi kwiatami. Z dojrzałych mleczy robię wianuszki na głowę. Gdy jest ciepło, to nie tracę ani chwili czasu, tylko biegnę do ogrodu. Kiedy patrzę na drzewa, łąki i słyszę ćwierkanie ptaków oraz szczekanie psów, widzę krowy pasące się na łące, to jestem szczęśliwa, że tu mieszkam. Taki widok mnie uspakaja i relaksuje. Wieczorem zawsze można napić się świeżego mleka. Po polach jeżdżą ciągniki, zazwyczaj coś sieją

lub orzą. Przed moim domem zrobiłam sobie malutki ogródek, w którym zasiałam wiele odmian kwiatów. Codziennie chodzę do niego, by go podlać lub sprawdzić, czy nie zarósł chwastami. Na wysokim słupie, wprost przed moim domem, bociany ulepiły sobie gniazdo. Zawsze obserwuję, jak młode bocianiątka uczą się latać. Nieraz im się to udaje, a nieraz upadają. Gdy się wyjdzie na dwór, to słyszać wtedy klekotanie młodych boćków. Wieczorami z bratem i naszym psem lubimy chodzić na spacer, wtedy bawimy się i biegamy po całym lesie. Na naszym wioskowym boisku często gramy w piłkę nożną, ale także lubimy pograć w siatkówkę. Gdy jest ładna pogoda, to z moją koleżanką bierzemy koc i trochę słodkości, rozkładamy go na łące i leżymy długo oraz podziwiamy uroki naszych Tworzymirek. W naszej wiosce jest mały plac zabaw, często chodzimy tam, ponieważ na środku jest góra i można się na nią wspinać. We wsi jest też ogromny park. Lubimy tam chodzić i huśtać się na huśtawkach, które same robimy. Wprawdzie nie są tak idealne, jak powinny być, lecz dają dużo frajdy. Mamy wokoło wioski las, w którym mieszka dużo zwierząt. Z mamą jeździmy tam na grzyby, których gatunki rozpoznaję właśnie dzięki niej. Z moją sąsiadką jeżdżę tam również na jagody. W lesie siedzimy długo, ponieważ bardzo powoli przybywa jagód w kance, ale warto, gdyż potem moja mama robi najpyszniejsze na świecie pierogi z jagodami. Czasami nawet jagody sprzedam mojej cioci, która mieszka w mieście, a za zarobione pieniądze mogę sobie kupić coś dla siebie. Lubią jeździć do lasu, bo jest tam świeże powietrze, oraz jest w nim taka cisza i spokój. Często z bratem robimy sobie wycieczki rowerowe.

W naszej wiosce wszyscy się znamy oraz jesteśmy dla siebie bardzo życzliwi. Ludzie z miasta zachwycają się klimatem naszej wioski. Bardzo chcieliby zamieszkać w niej. Jestem szczęśliwa, że mieszkam w tak pięknej krainie, w której nie ma czasu na nudę. Większość czasu spędza się tu w towarzystwie bliskich. Bardzo kocham swoje piękne otoczenie i nie zamieniłabym go na żadne inne miejsce.

Tu jest moje miejsce, tu jest mój dom

Od urodzenia mieszkam w małej wsi – Chałupy. Mogłabym nawet powiedzieć, że to osada, ponieważ są w niej tylko dwa domy: nasz i sąsiadów. Moja wieś znajduje się w gminie Milicz, na terenie rezerwatu przyrody Doliny Baryczy. Nasz dom otoczony jest lasem, dookoła rosną dorodne sosny i mocarne dęby, które jesienią dostarczają pożywienia dla zwierząt w postaci żołądź. Pomimo tego, że nie mam tu koleżanek i kolegów, nie nudzę się. Wolny czas spędzam, zwiedzając rowerem tereny naszej okolicy: stawy, tamy, stare poniemieckie cmentarze. Wiosną lubię przesiadywać w oknie i podziwiać budzącą się do życia przyrodę. Latem, w pogodne dni, mogę się zrelaksować, zbierając jagody. Wieczorami chodzę na spacer. W moim lesie jest dużo ścieżek, które skrywają leśne tajemnice. Jesienią natomiast idę do lasu w poszukiwaniu grzybów, które później wspólnie z mamą suszymy i wykorzystujemy zimą w kuchni. Inni muszą przemierzać kilkadziesiąt kilometrów, aby w ten sposób podziwiać i wykorzystywać walory naszej przyrody. Ja mam to na wyciągnięcie ręki.

Na wsi jest czyste powietrze. Można zrelaksować się przy szumie wiatru. Widoczne są piękne wschody i zachody słońca. Czasem można zobaczyć sarny pasące się na pobliskiej łące lub przeskakujące przez jezdnię. W długie letnie wieczory można zrobić grilla i pobawić się przy muzyce bez obaw o to, że będzie ona przeszkadzała sąsiadom.

Życie tu nie jest monotonne, jest urozmaicone. Mieszkańców wsi łączą więzi takie jak w rodzinie, tu wszyscy wszystkich znają i pomagają sobie nawzajem.

Od najmłodszych lat dużo czasu spędzałam z dziadkami. Lubiłam z nimi przebywać. Bawili się ze mną, a gdy coś przeszkrobałam,

nie krzyczeli na mnie. Mój dziadek, on jeden nie spieszył się nigdzie, zawsze znalazł wolną chwilę na zabawę ze mną. Na dworze robiłam z nim różne rzeczy, majsterkowałam i pomagałam mu w różnych pracach. Niestety, kilka lat temu zmarł, lecz wspomnienia chwil z nim spędzonych pozostaną w mej pamięci na zawsze. To on wskazywał mi właściwe ścieżki, jakimi powinnam iść przez życie, uczył mnie, swoim życiem i postępowaniem, jak najpełniej wykorzystać czas, jaki jesteśmy tu na Ziemi, dzięki niemu znam historię mojej rodziny, którą poznawałam podczas spędzanych z nim chwil. Dziadek jest dla mnie autorytetem. Nigdy na nikogo nie potrafił się gniewać, nie był zazdrosny o to, że ktoś ma czegoś więcej lub mu się lepiej powodzi, do wszystkich odnosił się kulturalnie i z szacunkiem, jaki należy do każdego człowiekowi.

Dużo zawdzięczam też moim rodzicom. To oni uczyli mnie od najmłodszych lat pracy, pomagania w domu, bycia dobrym dla innych oraz szacunku dla starszych. Chcą, abym wyrosła na mądrą, wykształconą i rozsądną osobę.

Moja wieś uczyła i nadal uczy mnie szacunku, zrozumienia i miłości. To właśnie tutaj kształci się mój charakter. Przeżyłam tu wiele pięknych chwil, chociażby różne uroczystości związane z moją rodziną. Pierwsza na myśl przychodzi mi moja I Komunia Święta. To wydarzenie było dla mnie szczególnie ważne, gdyż sama uczestniczyłam w przygotowaniach do niego. Mam nadzieję, że takich ważnych wydarzeń przeżytych w gronie rodzinnym będzie więcej. To wszystko, co się tu znajduje, było świadkami radości moich rodziców z sukcesów w nauce czy innych osiągnięć.

Gdy myślę, że mieszkaniec większego miasta nie ma tak bliskiego dostępu do przyrody, jak ja tutaj, uświadamiam sobie, jaki skarb mam wokoło. Moje otoczenie jest azylem dla zmęczonych pracą i strapionych problemami. Jest tu cisza i spokój.

Świat wiejskich wartości, takich jak szacunek dla ludzi i ich pracy, wzajemna pomoc i zrozumienie, korzystanie z dóbr, jakie daje nam Ziemia, był, jest i będzie źródłem mojego wzrastania.

Moja wieś – moje miejsce na Ziemi

Mieszkam na wsi od początku mojego życia. Moja wieś znajduje się na terenie Parku Krajobrazowego „Dolina Baryczy”, gdzie swoje gniazda ma wiele ptaków, które „miastowi” mogą zobaczyć tylko w książkach czy Internecie. Z tego powodu jestem jeszcze bardziej wyróżniony od mieszkańców innych wsi, którzy nie mogą podziwiać takich cudownych widoków wiejskiego krajobrazu, z tak licznym ptactwem.

To miejsce jest dla mnie bardzo ważne, ponieważ mam tu wielu przyjaciół, znajomych i wiele się tutaj nauczyłem. Na wsi nauczyłem się szacunku do chleba, ludzi starszych oraz radości ze wszystkiego, co dostaniemy, nieważne, czy to jakiś drogi przedmiot, czy symboliczny drobiazg. Liczy się to, że osoba, która nam to dała, pamięta o nas.

Życie na wsi wiąże się z różnymi obowiązkami, odpowiedzialnością za siebie i innych. Dzieci na wsi są wychowywane na odpowiedzialnych, pomocnych i pracowitych ludzi. Bardzo często od najmłodszych lat muszą pracować w gospodarstwie swoich rodziców. Gospodarka, jaką posiadają, jest dla niektórych ludzi nieodłączną częścią życia. Ci ludzie przeżywają wszystkie momenty ważne dla ich pola i plonów, tak jak kibic przeżywa mecze swojej drużyny. Nie wyobrażają sobie życia bez gospodarki. Często jest to ich jedyne źródło utrzymania. Muszą pracować na polach od samego rana do późnej nocy, żeby mieć z czego żyć. Tacy ludzie nie traktują tego jako pracę, lecz jako przyjemność, pasję, coś, co pozwala im czuć się szczęśliwymi. Cieszą się z każdego dnia, w którym mogą ciągnikiem wyjechać na pole.

Oprócz obowiązków i zadań na mieszkańców wsi czeka wiele przyjemnych doświadczeń, takich jak na przykład podziwianie pięknej „nienaruszonej” przyrody, która potrafi cieszyć oko za każdym razem, gdy na nią spojrzysz, chociaż robisz to wielokrotnie. Przyroda, którą widzimy na co dzień, bardzo często może nas zaskoczyć swoim naturalnym zmienianiem się z chwili na chwilę.

Wieś nie ma takich atrakcji, jakie czekają na ludzi w miastach, tj. kino, basen czy galerie handlowe, w których można się spotykać, zrelaksować lub zrobić zakupy. Ale ludzie ze wsi także mają takie miejsca. Są to wioskowe boiska, parki czy place zabaw. Ludzie ze wsi często nie mają możliwości robienia zakupów w swojej miejscowości z powodu braku sklepu. Na najbliższe zakupy muszą jeździć do sąsiednich wiosek czy najbliższych miasteczek. Jest to dla nich utrudnieniem, ale także przyjemnością, gdyż podczas takiej podróży mogą spotkać się i porozmawiać ze znajomymi.

Większość mieszkańców wsi jest bardzo religijna. Nie wyobraża sobie niedzieli bez Mszy świętej czy bez nabożeństw majowych, podczas których spotykają się na wspólnej modlitwie przy wioskowych krzyżach lub kapliczkach. Ludzie do kościoła czy kaplic muszą często pokonywać wiele kilometrów, co i tak nie przeszkadza im w wypełnieniu swojego obowiązku, jak nazywają swój niedzielny udział we mszy świętej.

Na wsi wszystko jest inne. Życie rządzi się własnymi prawami i „płynie własnym korytem”. Mieszkam na wsi od dzieciństwa i chcę żeby tak pozostało do końca mojego życia.

Wartości wiejskie drogą do dojrzałego życia

Na imię mam Wioletta i uczęszczam do Publicznego Gimnazjum w Zdzieszowicach, ale na stałe mieszkam w małej wiosce – Krępna, należącej do gminy Zdzieszowice. Jest to wspaniała wioska, w której każde dziecko – nawet to najmniejsze – czuje się bezpiecznie. Piękna okolica pełna złotych łąków zbóż, przyozdobionych kwiatami chabrow, tworzy przytulną atmosferę, tak odległą od miejskiego zgiełku. Niepokój związany z pogonią za złudnymi wartościami znika. Pośpiech zastępuje spokój, cisza pozwala odzyskać równowagę.

Życie na wsi sprawia, że ludzie od wczesnych lat życia uczą się odpowiedzialności.

Poczucie posiadania obowiązków wobec domu i inwentarza ułatwia podjęcie wyzwań życia i zbliżającej się dorosłości. Stopniowo narastające we mnie konsekwencja i wytrwałość pozwalają wzrastać do dojrzałych decyzji oraz efektywnego radzenia sobie z sytuacjami dnia codziennego.

Środowisko wiejskie nie jest pozbawione ośrodków kulturalnych. Szczególnie dwa miejsca: szkoła i kościół stanowią rdzeń wszechstronnego rozwoju mieszkańców. Służą one zarówno rozwojowi intelektualnemu, jak i duchowemu. Stają się miejscem spotkań i pogłębiania relacji międzyludzkich. W Sylwestra w budynku szkoły odbywa się wspólna zabawa, a w karnawale bal przebiekańców. Dodatkowo organizowane są festyny, które mogą się odbywać dzięki zaangażowaniu i bezinteresowności mieszkańców. Niedzielne Eucharystie również jednoczą wiernych należących do tej samej parafii. W ten sposób nikt nie jest wyobcowany, ludzie żyją nie tylko obok siebie, ale ze sobą nawzajem. Osoby samotne

czy poszkodowane przez los mogą liczyć na wsparcie oraz pomoc ze strony swoich sąsiadów, bliższych i dalszych. Mieszkańcy czują się za siebie wzajemnie odpowiedzialni. Wspólnota środowiska wiejskiego tworzy dużą i kochającą rodzinę.

Życie w środowisku wartości wiejskich uczy mnie również empatii oraz wrażliwości na problemy innych ludzi. Dzieci od początku swojego życia odczuwają bliskość nie tylko mamy i taty, ale również dziadków. Taka sytuacja jest możliwa dzięki tradycji wielopokoleniowych rodzin, gdzie kilka pokoleń zamieszkuje w tym samym miejscu w bezpośredniej współpracy i bliskości. Nabyte w ten sposób przekonania, wynikające z własnych doświadczeń, sprawiają, że niewyobrażalna jest sytuacja przekazania starszych, wymagających opieki bliskich do domów tak zwanej „spokojnej” starości. Miejsca te nasuwają skojarzenie z określeniem „domy samotnej starości”, istniejącym nawet nie tyle w języku potocznym, co w ludzkiej świadomości. Nawykli do kontaktów z innymi i ich obecności mieszkańcy wsi nie godzą się na tak bezduszne i pełne wyrachowania zachowanie. Nauczyli się oni bowiem budować relacje z innymi i stali się odpowiedzialni za konsekwencję własnych zachowań wobec nich.

Z własnego doświadczenia wiem, że babcia lub dziadek mogą stanowić prawdziwą ostoję. Kiedy jako dziewczynka uczęszczająca do szkoły podstawowej wracałam do domu, na stole witał mnie ciepły obiad i serdeczny uśmiech babci. Jej troska zastępowała wtedy zapracowanych rodziców. Wiem, że nigdy nie zapomnę o tym, jak wiele wtedy dla mnie zrobiła. Mam wewnętrzną pewność, że kiedy za kilka lub kilkanaście lat trzęsące się ręce lub bóle stawów będą przeszkadzać jej w codziennym życiu, to właśnie ja zaopiekuję się nią, tak jak kiedyś ona mną. Jestem przekonana, że zrobię to z radością – przecież ona mnie tego nauczyła.

Okolice Krępnej, będące moją „małą ojczyzną”, uczą mnie poszanowania i kultywowania tradycji, a dzięki temu rozsądnego kierowania sobą. Zgodnie z powyższym mogę z pełną świadomością stwierdzić, że świat wiejskich wartości jest źródłem mego wzrastania.

*Jest takie miejsce,
do którego zawsze chętnie wracam*

Kocham życie na wsi. Nie wyobrażam sobie, by kiedykolwiek było inaczej. Jest tu tak spokojnie i cicho. Razem z moją wielopokoleniową rodziną mieszkamy w malutkiej, ale jakże urokliwej wsi Rozwadza, jednej z najstarszych w gminie Zdzeszowice (woj. opolskie). Jest położona na dawnym szlaku handlowym, łączącym Koźle z Opolem. Jak podają źródła, nazwę wsi zarejestrowano po raz pierwszy ok. 1300 roku jako *Rosvatzha* lub *Rozwadse*, wcześniej pojawia się w zapiskach kroniki cystersów z Imielnicy (Jemielnicy) w 1282 roku. Najprawdopodobniej pochodzi od staropolskiego imienia *Rozwad* (z 1155 roku).

To tu mieszkamy od urodzenia, tu z dwójką mojego rodzeństwa wzrastamy do życia w miłości. W mojej rodzinie od zawsze panują zgoda i szacunek. Pomagamy jeden drugiemu, razem przeżywamy radości i smutki. Staramy się zrozumieć siebie. Oczywiście, jak to bywa wśród najbliższych, nie obejdzie się bez drobnych sporów, ale prawie zawsze drogą kompromisu znajdujemy rozwiązanie.

Mocno zakorzenione w śląskiej tradycji, również w mojej rodzinie, jest coroczne obchodzenie urodzin. Kiedy zbliża się ów dzień, wszyscy członkowie rodziny szykują się do tego uroczystego, rodzinnego spotkania. Każdy stara się przygotować jakiś oryginalny prezent i symboliczny bukiet kwiatów. Staramy się, aby dla solenizanta był to szczególnie i wyjątkowy dzień, niezależnie od wieku. Na urodziny najczęściej przychodzi nasza najbliższa rodzina oraz, w przypadku mojej siostry, także jej teściowie. Moja mama jest znakomitą kucharką, w związku z tym przygotowuje pyszne

ciasta (obowiązkowo kolorowy tort z licznymi dekoracjami) oraz potrawy, że aż palce lizać. Pod wieczór podajemy różnorodne zakąski, a później kolację na ciepło. Każdy może wybrać to, na co ma ochotę. Na urodzinowym przyjęciu panuje wesoła, ciepła i miła atmosfera. Wszyscy śmiejemy się, opowiadamy dowcipy i w ogóle świetnie się bawimy, lecz wszyscy milkną, gdy głos zabiera nasza babcia, która wspomina stare, dobre czasy. Opowiada nam o utopcach, miejscowych matackorzach, czyli flisakach, którzy spławiali drewno Odrą do Szczecina, jak również o licznych nadodrzańskich zjawach. I choć słyszałam te historie już nie raz, to zawsze mnie wzruszają, albowiem niektóre z nich są wspaniałymi opowieściami o dorastaniu i pokonywaniu własnych słabości. Mamy więc co wspominać podczas świętowania dnia urodzin.

Od małego uwielbiam odwiedzać mojego kochanego wujka, który mieszka na drugim końcu wsi. Na podwórzu jego domu witają mnie dwaj czworonożni przyjaciele: kundelek Nuka i kotka Tina. Uwielbiam ich bujną sierść i to ciągłe łaszenie się do moich nóg. Nieopodal wujowego domu rozciąga się urzekający, mały las. Bardzo lubię tam chodzić i spędzać czas w samotności. Na skraju zagajnika rosną piękne krzewy dzikiej róży. Najwspanialej wyglądają wiosną, kiedy kwitną. Kiedy patrzę w niebo, rozpościerają się nade mną niczym parasol, ogromne popłątane konary buków, topoli i brzoź. Polana, na której zwykle się zatrzymuję, jest pokryta dywanem różnobarwnych kwiatów. Wczesną wiosną, soczysta, nieskażona słońcem zieleń traw upstrzona jest dywanem żółtych mleczków i białymi plamami stokrotek. Od dawna podoba mi się to miejsce. Mogłabym tam przesiadywać całymi godzinami. Kocham ten spokój i tajemniczość tego urokliwego zakątka. Często zdarza mi się „zatracić” w ptasim koncercie. Te małe stworzonka wyśpiewują czasem wesołe, a czasem smutne, wręcz wzruszające melodie... Ach! Jak ja kocham to miejsce... Przebywanie na łonie natury sprawia mi ogromną radość. Czuję się wtedy wyjątkowo swobodnie, zapominam o problemach i nie muszę udawać nikogo innego. Uwielbiam ten uroczy, tajemniczy zakątek, w którym mogę odpocząć, uwolnić się od stresu i uciec od zgiełku codzienności.

Uwielbiam życie na wsi i nie zamieniałbym je na żadne inne. Czuję się tu taka wolna i niezależna. Czasem mam wrażenie, że czas płynie tutaj inaczej – wolniej... Ta wieś i jej urokliwe zakątki, moja rodzina... – to mój azyl, to mój Eden.

